

The background of the entire cover is a photograph of a castle perched on a rocky cliff overlooking a calm body of water. The sky is filled with dramatic, colorful clouds in shades of blue, orange, and pink, suggesting a sunset or sunrise. The sun is low on the horizon, reflecting its golden light on the water's surface. The castle, which appears to be a fairytale-style structure with multiple towers and flags, is in the lower-left foreground, its stone walls and battlements clearly visible. The overall mood is epic and atmospheric.

SZARŻA WALECZNYCH

KSIĘGA 6 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA

MORGAN RICE

Kręgu Czarnoksiężnika

Morgan Rice

Szarża Walecznych

«Lukeman Literary Management Ltd»

Rice M.

Szarża Walecznych / M. Rice — «Lukeman Literary Management Ltd», — (Kręgu Czarnoksiężnika)

Szarża Walecznych (Księga 6 Kręgu Czarnoksiężnika) opisuje dalsze przygody Thora podczas wyprawy w głąb Imperium, na którą wyruszył, by odzyskać skradziony Dynastyczny Miecz i ocalić Krąg. Thora i jego kompanów niespodziewanie dotyka tragedia, gdy tracą jednego ze swych bliskich przyjaciół. Stają się sobie bliżsi niż kiedykolwiek, przekonując się, że muszą wspólnie stawiać czoła i pokonywać przeciwności losu. Ich wyprawa prowadzi ich przez nowe, egzotyczne terytoria – w tym na opuszczone Pola Solne, do Wielkiego Tunelu i Góry Płomieni – na których na każdym kroku czyhają na nich nieznane stwory. Thor rozwija swoje umiejętności, przechodząc najcięższe do tej pory szkolenie, i przekonuje się, że jeśli chce przeżyć, musi odwołać się do mocy silniejszych niż dotychczas. Legioniści dowiadują się w końcu, dokąd zabrano Miecz Przeznaczenia i, aby go odzyskać, będą musieli wyprawić się w najstraszniejsze miejsce w Imperium: do Krainy Smoków. Tymczasem w Kręgu Gwendolyn powoli dochodzi do siebie i zmagając się z depresją po ataku. Kendrick i pozostali przysięgają walczyć w obronie jej czci, choć bogowie zdają się im nie sprzyjać. Rozgrywa się jedna z największych bitew w dziejach Kręgu, gdy mężczyźni próbują uwolnić Silesię i pokonać Andronicusa. Godfrey tymczasem trafia w przebraniu w szeregi wroga i na swój własny, wyjątkowy sposób uczy się, co to znaczy być wojownikiem. Garethowi udaje się przeżyć, używając swego sprytu, by uniknąć schwytania przez Andronicusa, a Erec walczy na śmierć i życie, by zapobiec zdobyciu Savarii przez zbliżającą się armię Andronicusa – i by uratować swoją ukochaną, Alistair. Argon płaci wysoką cenę za złamanie zasad: wtrącanie się w ludzkie sprawy. Gwendolyn musi zdecydować, czy się podda, czy też obierze życie w odosobnieniu jako zakonnica w starożytnej Wieży Schronienia. Jednak wcześniej, dzięki zaskakującemu obrotowi spraw, Thor dowiaduje się, kto jest jego prawdziwym ojcem. Czy Thor i pozostali wrócą cało z wyprawy? Czy odzyskają Dynastyczny Miecz? Czy Krąg przetrwa najazd Andronicusa? Jak potoczą się losy Gwendolyn, Kendricka i Ereca? I kim jest prawdziwy ojciec Thora? Odnaczająca się wyszukana inscenizacja i charakteryzacja SZARŻA WALECZNYCH to

epicka opowieść o przyjaciołach i kochankach, rywalach i zalotnikach, rycerzach i smokach, intrygach i politycznych machinacjach, o dorastaniu, o złamanych sercach, oszustwach, ambicji i zdradzie. To opowieść o honorze i odwadze, losie i przeznaczeniu, o magii. To fantazja wciągająca nas w świat, którego nigdy nie zapomnimy i który przemówi do wszystkich grup wiekowych i płci. Powieść liczy 70. 000 słów.

© Rice M.

© Lukeman Literary Management Ltd

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	10
ROZDZIAŁ DRUGI	14
ROZDZIAŁ TRZECI	19
ROZDZIAŁ CZWARTY	23
ROZDZIAŁ PIĄTY	25
ROZDZIAŁ SZÓSTY	30
ROZDZIAŁ SIÓDMY	32
ROZDZIAŁ ÓSMY	36
Конец ознакомительного фрагмента.	40

Morgan Rice

Szarża Walecznych (Księga 6 Kręgu Czarnoksiężnika)

Przekład: Sandra Wilk

O autorce

Morgan Rice jest autorką bestsellerowych THE VAMPIRE JOURNALS, serii powieści dla młodzieży obejmującej jedenaście części (kolejne w trakcie przygotowania), THE SURVIVAL TRILOGY, postapokaliptycznego thrillera, w skład którego wchodzi dwie księgi (kolejne w trakcie przygotowania) oraz epickiego cyklu fantasy KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA, składającego się z trzynastu ksiąg (kolejne w trakcie przygotowania).

Książki autorki dostępne są w wersji audio oraz drukowanej i zostały przetłumaczone na niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, portugalski, japoński, chiński, szwedzki, holenderski, turecki, węgierski, czeski i słowacki (kolejne wersje językowe w trakcie przygotowania).

PRZEMIENIONA (Księga 1 cyklu Vampire Journals), ARENA ONE (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), WYPRAWA BOHATERÓW (Księga 1 cyklu Krąg Czarnoksiężnika) oraz POWRÓT SMOKÓW (Księga 1 cyklu Kings and Sorcerers) dostępne są nieodpłatnie.

Morgan cieszą komentarze czytelników, zachęcamy więc do odwiedzenia strony www.morganricebooks.com, gdzie możecie dopisać swój adres e-mail do listy i otrzymać darmową wersję książki oraz materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, przeczytać najświeższe, niepublikowane nigdzie indziej wiadomości, połączyć się przez Facebook i Twitter i być w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

„KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontryntrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce.”

– *Books and Movies Reviews, Roberto Mattos*

“Świat wykreowany przez Rice wciąga od pierwszych stron. Autorka opisuje go w niezwykle barwny sposób, który wykracza poza zwykły opis scenerii... Dobrze napisana książka, którą czyta się w mgnieniu oka.”

– *Black Lagoon Reviews (w odniesieniu do Turned)*

„Idealna opowieść dla młodych czytelników. Morgan Rice dobrze się spisała, wprowadzając nieoczekiwany zwrot wydarzeń... Ożywcza i jedyna w swoim rodzaju. Cykl opowiada o jednej dziewczynie... wyjątkowej dziewczynie! Łatwo się czyta, a akcja biegnie niezwykle szybko... Zalecana kontrola rodzicielska.”

– *The Romance Reviews (w odniesieniu do Turned)*

“Przykuwa uwagę od pierwszych stron. Nie będziesz mógł się od niej oderwać... Ta historia to fantastyczna przygoda, przepełniona akcją od samego początku. Nie ma w niej ani jednego nudnego momentu.”

– *Paranormal Romance Guild* (w odniesieniu do *Turned*)

“Przepełniona do granic możliwości akcją, romansem, przygodą i napięciem. Weź ją do ręki i zakochaj się od nowa.”

– *vampirebooksite.com* (w odniesieniu do *Turned*)

„Książka o fantastycznej fabule, którą trudno będzie ci odłożyć w nocy. Kończy się w tak nieoczekiwanym i spektakularnym momencie, że natychmiast nabierzesz ochoty, by kupić kolejną część i przekonać się, co będzie dalej.”

– *The Dallas Examiner* (w odniesieniu do *Loved*)

“Rywal ZMIERZCHU i PAMIĘTNIKÓW WAMPIRÓW, od którego nie będziesz mógł się oderwać aż do ostatniej strony! Jeśli jesteś fanem przygody, romansu i wampirów, to książka właśnie dla ciebie!”

– *vampirebooksite.com* (w odniesieniu do *Turned*)

„Morgan Rice po raz kolejny udowadnia, że potrafi w niezwykle sposób snuć opowieści... Książka przemówi do szerokiego grona odbiorców, w tym do młodych fanów gatunku fantasy i opowieści o wampirach. Kończy się w takim momencie, że otworzysz oczy szeroko ze zdumienia.”

– *The Romance Reviews* (w odniesieniu do *Loved*)

Autorstwa Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)

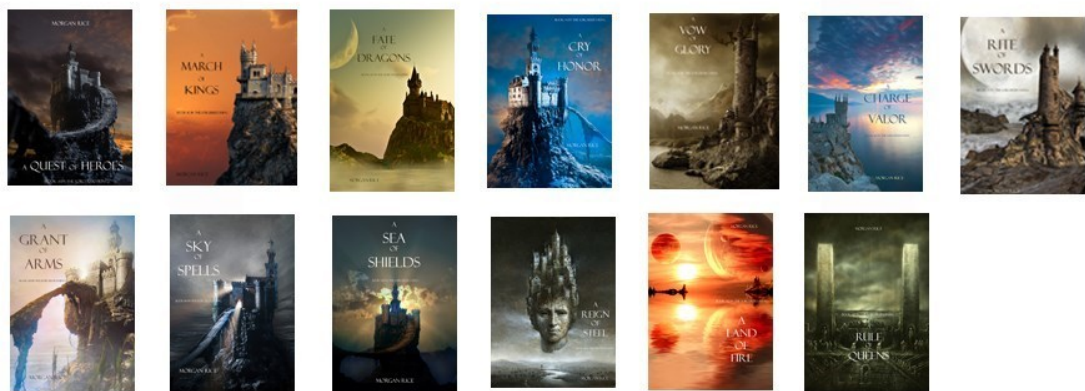
KRAJ CZARNOKSIEŻNIKA
WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)
MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)
LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)
ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)
BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)
SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)
RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)
OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)
NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)
MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)
ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)
KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)
PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)
POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)
ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY
ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)
ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

WAMPIRZYCH DZIENNIKÓW

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)
KOCHANY (CZEŚĆ 2)
ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)
PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)
POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)
ZARĘCZONA (CZEŚĆ 6)
ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)
WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)
UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)
NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

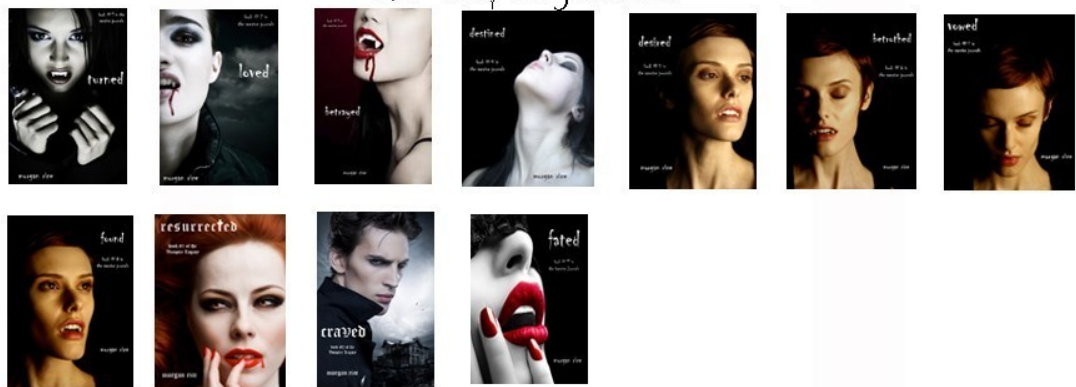
THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals





Posłuchaj książek z cyklu KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA w formie audiobooka!

*Tchórze po wielkroć przed śmiercią giną;
Waleczni raz, śmierci smakują.*

*– William Shakespeare
Juliusz Cezar*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gwendolyn leżała twarzą do ziemi na trawie, czując jak chłodne podmuchy zimowego wiatru smagają jej nagą skórę. Zamrugła, otwierając oczy, i powoli świat nabrał znów ostrości. Była w jakimś odległym miejscu, na polu rozpromienionym słońcem i kwiatami, z Thorem i swym ojcem u boku. Śmiali się radośnie, szczęśliwi. Świat był doskonały.

Lecz ten świat, który ukazał się jej oczom, gdy uniosła powieki, nie mógłby się bardziej od niego różnić. Ziemia była twarda, zimna, a nad sobą zobaczyła powoli podnoszącego się, nie swego ojca, nie Thora – lecz potwora: McClouda. Skończywszy z nią, wstał niespiesznie, wciągnął spodnie i spojrzał w dół z wyrazem zadowolenia na twarzy.

Nagle wszystko jej się przypomniało. To, jak poddała się Andronicusowi. Jego zdrada. Atak McClouda. Oblała się rumieńcem, gdy dotarło do niej, jak bardzo była naiwna.

Leżała tak, obolała, ze złamanym sercem. Nigdy jeszcze tak bardzo nie pragnęła umrzeć.

Gwendolyn otworzyła oczy szerzej i ujrzała armię Andronicusa – zastępy żołnierzy, przyglądających się wszystkiemu – i poczuła jeszcze większy wstyd. Nie powinna była poddawać się temu stworowi; żałowała, że nie poległa miast tego w walce. Powinna była usłuchać Kendricka i pozostałych. Andronicus odwołał się do jej instynktu poświęcenia, a ona pozwoliła się podejść. Żałowała, że nie spotkała się z nim w walce: nawet gdyby zginęła, przynajmniej mogłaby odejść z nienaruszoną godnością i honorem.

Gwendolyn miała pewność, po raz pierwszy w życiu, że zginie. Jednak nie miało to już dla niej znaczenia. Nie dbała o to, czy umrze – chciała jedynie umrzeć po swojemu – i nie była jeszcze gotowa, by dać za wygraną.

Leżąc twarzą do ziemi, ukradkiem wysunęła dłoń i chwyciła garść ziemi.

– Możesz już wstać, kobieto – rzekł McCloud szorstko. – Skończyłem z tobą. Niech inni się zabawią.

Gwen ścisnęła ziemię w dłoni tak mocno, że aż zbieleły jej kłykcie. Modliła się, by się udało.

Jednym szybkim ruchem odwróciła się i cisnęła ziemią w oczy McClouda.

Nie spodziewał się tego. Krzyknął i zatoczył się w tył, podnosząc dłonie i próbując wytrzeć pył z oczu.

Gwen wykorzystała sytuację. Wychowała się w królewskim zamku i została wyszkolona przez wojowników króla, którzy zawsze powtarzali jej, by atakowała drugi raz, nim przeciwnik zdąży dobiec do siebie. Nauczyli ją też czegoś, czego nigdy nie zapomniała: bez względu na to, czy ma przy sobie broń, czy nie, zawsze jest uzbrojona. Zawsze może wykorzystać broń przeciwnika.

Gwen sięgnęła za pas McClouda, dobyła stamtąd sztyletu, uniosła go wysoko i zatopiła między jego nogami.

McCloud krzyknął jeszcze głośniejszym głosem, odsuwając dłonie od oczu i chwytając się za krocze. Broczył krwią między nogami. Sięgnął w dół i wyjął sztylet, wciągając gwałtownie powietrze.

Była zachwycona swym ciosem, tym, że zemściła się choć trochę. Jednak ku jej zaskoczeniu ta rana, która powaliłaby każdego innego, nie spowolniła McClouda. Ten potwór był nie do zatrzymania. Raniła go mocno, tam, gdzie sobie na to zasłużył, lecz go nie zabiła. Nawet nie osunął się na kolana.

McCloud wyciągnął ociekający krwią sztylet i uśmiechnął się drwiąco. W jego oczach kryła się śmierć. Ruszył w jej kierunku, zaciskając drżące dłonie na sztylcie, i Gwendolyn wiedziała, że wybiła jej godzina. Przynajmniej zginie z odrobiną satysfakcji.

– Teraz wyrwę ci serce i cię nim nakarmię – rzekł. – Poznasz, co to prawdziwy ból.

Gwendolyn przygotowała się na cios sztyletu, wiedząc, że czeka ją bolesna śmierć.

Rozległ się krzyk i po chwili pełnej niedowierzania Gwen ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że to nie ona krzyczy. Był to McCloud; wrzeszczał w męczarniach.

Gwen opuściła dłonie i spojrzała w górę, zbita z pantafyku. McCloud upuścił sztylet. Zamrugowała gwałtownie, próbując zrozumieć, co się stało.

McCloud stał przed nią, a w jego oku tkwiła strzała. Krzyczał, brocząc krwią z oczodołu. Uniósł dłoń i chwycił strzałę. Gwen nie rozumiała. Został trafiony. Ale jak? Przez kogo?

Odwrociła się w kierunku, z którego poszybowała strzała i uradowała się na widok Steffena, kryjącego się z łukiem wśród ogromnej grupy żołnierzy. Nim ktokolwiek zdołał się zorientować, co się dzieje, Steffen wypuścił sześć kolejnych strzał i, jeden po drugim, sześciu żołnierzy stojących przy McCloudzie osunęło się na ziemię ze strzałami w gardłach.

Steffen sięgnął w tył, przymierzając się, by oddać kolejne strzały, lecz dostrzeżono go. Spora grupa żołnierzy przyskoczyła do niego, obezwładniła i zaczęła okładać, aż padł na ziemię.

McCloud, wciąż krzycząc, odwrócił się i zniknął w tłumie. Gwen zdumiało, że wciąż żył. Miała nadzieję, że wykrwawi się na śmierć.

Serce Gwen przepełniło się wdzięcznością dla Steffena, większą niż była w stanie wyrazić. Wiedziała, że zginie tego dnia, lecz teraz przynajmniej nie z ręki McClouda.

W obozie zaległa cisza, gdy Andronicus wstał i niespiesznie ruszył w kierunku Gwendolyn. Leżała na ziemi, przypatrując się, jak podchodzi, niewiarygodnie wysoki, jak góra zmierzająca w jej kierunku. Żołnierze, których mijał, ustawiali się za nim w szeregu. Na polu bitwy zapadła martwa cisza. Jedynym dźwiękiem było wycie wiatru.

Andronicus zatrzymał się kilka stóp od niej. Zawisł nad nią, patrząc w dół. Na jego twarzy nie było ani śladu emocji. Uniósł rękę i powoli przesunął palcami po skurczonych czerepach, które nawleczone były na jego naszyjnik. Z głębi jego piersi i gardła dobyły się dziwne pomruki. Zdawał się być zarazem wściekły i zaintrygowany.

– Sprzeciwiłaś się wielkiemu Andronicusowi – rzekł powoli.

Cały obóz wsłuchiwał się w każde jego słowo, brzmiące głęboko i pradawnie. Jego władczy głos rozniósł się po równinach.

Byłoby łatwiej, gdybyś poddała się swej karze – dodał. – Teraz będziesz musiała się przekonać, co znaczy prawdziwy ból.

Andronicus sięgnął w dół i dobył miecza dłuższego, niż Gwen kiedykolwiek widziała. Musiał mieć długość ośmiu stóp, a jego charakterystyczny świst rozbrzmiał echem po polu bitwy. Trzymał go wysoko w górze, obracając w słońcu. Odbijające się promienie oślepiły Gwen. Andronicus przyglądał się mu, obracając go w dłoni, jak gdyby widział go po raz pierwszy.

– Pochodzisz ze szlachetnego rodu – rzekł. – Przystoi, byś zginęła od ostrza szlachetnego miecza.

Andronicus postąpił dwa kroki naprzód, chwycił rękojeść obiema dłońmi i uniósł miecz wyżej.

Gwendolyn zamknęła oczy. Słyszała świszczący wiatr, ruch każdego źdźbła trawy, a przez myśl przelatywały jej różne wspomnienia. Czuła, że jej życie biegnie ku końcowi, myślała o wszystkim, co zrobiła, o wszystkich, których kochała. W swych ostatnich chwilach Gwen myślała o Thorze. Sięgnęła do szyi i zacisnęła mocno dłoń na amulecie, który jej dał. Czuła, jak ten starożytny czerwony kamień rozgrzewa się i przypominała sobie słowa Thora, gdy go jej ofiarował: ten amulet może uratować twoje życie. Raz.

Zacisnęła mocniej dłoń i modliła się do Boga każdą tkanką swego ciała. Amulet pulsował w jej dłoni.

Proszę, Boże, spraw, by ten amulet zadziałał. Proszę, ocal mnie, tylko ten jeden raz. Pozwól mi ujrzeć znów Thora.

Gwen otworzyła oczy, spodziewając się ujrzeć spadający na nią miecz Andronicusa – lecz to, co zobaczyła, zdumiało ją. Andronicus stał, jak gdyby zastygł w miejscu, spoglądając ponad jej ramieniem i obserwując kogoś, kto zbliża się w ich kierunku. Zdawał się być zaskoczony, nawet zdezorientowany, i nie były to emocje, które spodziewała się kiedykolwiek zobaczyć na jego twarzy.

– Opuść teraz miecz – dobiegł ją głos zza jej pleców.

Gwendolyn zelektryzował dźwięk tego głosu. Znała go. Odwróciła się i z zaskoczeniem ujrzała osobę, którą znała równie dobrze, jak własnego ojca.

Argona.

Stał tam w białych szatach i kapturze, a jego utkwione w Andronicusie oczy błyszczały intensywniej, niż kiedykolwiek widziała. Ona i Steffen leżeli na ziemi pomiędzy tymi dwoma tytunami. Były to dwie istoty o niewiarygodnej mocy, jedna – mroku, druga – jasności, tkwiące w impasie naprzeciw siebie. Niemal wyczuwała duchową walkę szalejącą ponad jej głową.

– Ach tak? – rzekł Andronicus drwiąco, uśmiechając się.

Jednak Gwen dostrzegła, że rozciągnięte w uśmiechu wargi Andronicusa drżą, a w jego oczach po raz pierwszy dostrzegła coś na kształt strachu. Nie spodziewała się nigdy, że to zobaczy. Andronicus musiał słyszeć o Argonie. I cokolwiek słyszał, było to wystarczające, by najpotężniejszy dowódca na świecie się przestraszył.

– Nie wyrządzisz dziewczynie więcej krzywdy – powiedział Argon ze spokojem. – Pozwolisz, by się poddała – dodał, robiąc krok naprzód. Jego oczy błyszczały hipnotycznie. – Pozwolisz jej wrócić do jej ludzi. I pozwolisz jej ludziom poddać się, jeśli taką decyzję podejmą. Powiem to tylko raz. Postąpisz mądrze, nie sprzeciwiając się.

Andronicus patrzył na Argona. Zamrugał kilka razy, jak gdyby nie potrafił podjąć decyzji.

Po chwili odrzucił głowę w tył i ryknął śmiechem. Był to najgłośniejszy i najmroczniejszy śmiech, jaki Gwen kiedykolwiek słyszała. Wypełnił cały obóz i zdawał się szybować aż po nieboskłon.

– Twe czarnoksięskie sztuczki na mnie nie podziałają, starcze – rzekł Andronicus. – Słyszałem o Wielkim Argonie. Był czas, gdyś był potężny. Potężniejszy niż człowiek, niż smoki, niż same niebiosy – a przynajmniej tak powiadają. Lecz twój czas minął. Teraz nastał nowy czas. Czas wielkiego Andronicusa. Teraz jesteś jedynie reliktem niegdysiejszych czasów, pozostałością przeszłości, gdy rządili MacGilowie, gdy magia była potężną siłą. Gdy Krąg był nie do pokonania. Lecz twój los spleciony jest z Kręgiem. A Krąg jest teraz słaby. Jak ty.

– Niemądrze postępujesz, stając mi na drodze, starcze. Teraz ucierpisz. Teraz poznasz siłę Wielkiego Andronicusa.

Andronicus uśmiechnął się drwiąco i ponownie uniósł miecz, mierząc w Gwendolyn. Tym razem utkwiał spojrzenie w Argonie.

– Zabiję dziewczynę powoli na twych oczach – powiedział Andronicus. – Następnie zabiję garbusa. A później cię okaleczę, lecz pozostawię przy życiu jako chodzący dowód mej potęgi.

Gwendolyn przygotowała się na cios i zadrzała, gdy Andronicus opuszczał miecz na jej szyję.

Nagle coś się stało. Usłyszała świst przecinający powietrze, jak gdyby tysiąca płomieni, a po nim krzyk Andronicusa.

Otworzyła oczy, nie dowierzając własnym uszom, i ujrzała twarz Andronicusa ściągniętą bólem. Upuścił miecz i padł na kolana. Patrzyła, jak Argon robi krok naprzód, potem kolejny, wyciągając przed siebie jedną dłoń, z której rozchodziła się kula fioletowego światła. Kula rosła i rosła, otaczając Andronicusa, gdy Argon szedł naprzód, zbliżając się do niego z wyciągniętą dłonią. Na jego twarzy nie było śladu emocji.

Andronicus zwinął się w kłębek na ziemi, otoczony kulą światła.

Jego ludzie wydali z siebie stłumiony krzyk, lecz nikt nie śmiał podejść. Byli przestraszeni – lub Argon rzucił na nich jakieś zaklęcie, które nie pozwalało im się poruszyć.

– PRZESTAŃ! – wrzasnął Andronicus, wyciągając ręce w górę i zakrywając uszy. – BŁAGAM!

– Nie skrzywdzisz dziewczyny – rzekł Argon powoli.

– Nie skrzywdzę dziewczyny – powtórzył Andronicus, jak gdyby w transie.

– Uwolnisz ją teraz i pozwolisz, by wróciła do swych ludzi.

– Uwolnię ją teraz i pozwolę, by wróciła do swych ludzi!

– Dasz jej ludziom szansę na to, by się poddali.

– Dam jej ludziom szansę, by się poddali! – wrzasnął Andronicus. – Proszę! Zrobię cokolwiek! Argon odetchnął głęboko, po czym cofnął dłoń. Światło zniknęło, gdy powoli opuszczał rękę.

Gwen podniosła wzrok i spojrzała na niego w szoku; nigdy nie widziała, by Argon używał swych mocy i ledwie była w stanie to wszystko pojąć. Czuła się tak, jak gdyby patrzyła na rozwierające się niebiosy.

– Jeśli przyjdzie nam się znów spotkać, wielki Andronicusie – powiedział Argon powoli, patrząc w dół na leżącego i jęczącego Andronicusa. – Będzie to w drodze ku najmroczniejszym czeluściom śmierci.

ROZDZIAŁ DRUGI

Thor szarpał się, próbując wyrwać się żołnierzom Imperium, którzy trzymali go mocno w miejscu, i przyglądał się bezradnie jak Durs, człowiek, którego uważał kiedyś za swego brata, unosi miecz, by go zabić.

Thor zamknął oczy i zebrał się w sobie, wiedząc, że nadszedł jego czas. Wyrzucał sobie, że był tak głupi, tak ufny. To od początku była pułapka, od początku prowadzili go jak owieczkę na rzeź. Co gorsza, pozostali chłopcy liczyli, że jako przywódca, Thor nimi pokieruje. Zawiódł nie tylko siebie, lecz również pozostałych. Jego naiwność, jego ufna natura postawiły ich wszystkich w niebezpieczeństwie.

Thorgrin szarpał się, z całych sił próbując przywołać swą moc, gdzieś z wewnątrz, ledwie tyle, by się wyrwać, by móc się bronić.

Jednak, choć bardzo się starał, nie udawało mu się to. On sam zaś nie był wystarczająco silny, by wyrwać się z rąk wszystkich żołnierzy, którzy go trzymali.

Thor czuł podmuchy wiatru na twarzy, gdy Durs opuszczał miecz, i przygotowywał się na nieuniknione uderzenie stali. Nie był gotowy na śmierć. Oczyma wyobraźni widział Gwendolyn, Krąg, czekających na niego. Czuł, że ją także zawiódł.

Nagle Thor usłyszał dźwięk ciała uderzającego o ciało, otworzył oczy i ze zdumieniem spostrzegł, że wciąż żyje. Ręka Dursa zastygła w powietrzu. Chwycił go za nadgarstek ogromny żołnierz Imperium, który górował nad nim – co nie było łatwe, zważywszy na posturę Dursa. Zatrzymał nadgarstek Dursa jedynie całe od Thora.

Durs odwrócił się do żołnierza Imperium. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

– Nasz przywódca nie chce, by ich zabijać – wymamrotał ponuro do Dursa. – Chce ich dostać żywych. Jako więźniów.

– Nikt nas nie uprzedził – zaoponował Durs.

– Według umowy mieliście pozwolić nam ich zabić! – dodał Dross.

– Warunki umowy uległy zmianie – rzekł żołnierz.

– Nie możecie tak postąpić! – zawołał Drake.

– Ach tak? – odrzekł ponuro, odwracając się do niego. – Możemy postępować, jak tylko nam się podoba. Tak w zasadzie was także teraz pojmiemy – żołnierz uśmiechnął się. – Im więcej legionistów do wykupienia, tym lepiej.

Durs spojrzał na żołnierza i na jego twarzy pojawiło się oburzenie. Po chwili dziesiątki żołnierzy rzuciły się na trzech braci. Powalili ich na ziemię i skępowali im ręce.

Thor skorzystał z powstałego zamieszania, odwrócił się i rozejrzał w poszukiwaniu Krohna, którego dostrzegł ledwie kilka stóp dalej, przycзанego w cieniu, wciąż lojalnie u jego boku.

– Krohn, pomóż! – krzyknął Thor. – TERAZ!

Krohn rzucił się do działania, warcząc. Skoczył i zatopił kły w gardle żołnierza Imperium, który trzymał rękę Thora. Thor wykręcił się, a Krohn skoczył od jednego żołnierza do drugiego, gryząc i drapiąc, aż Thor mógł się uwolnić i chwycić swój miecz. Odwrócił się i jednym ruchem ścinał trzy głowy.

Thor podbiegł do Reece'a, który stał najbliżej niego, i dźgnął trzymającego go żołnierza w pierś, uwalniając Reece'a i umożliwiając mu dobyte miecza i przyłączenie się do walki. Obaj pospieszyli do swych braci legionistów, atakując stojących przy nich żołnierzy i uwalniając Eldena, O'Connora, Convala i Convena.

Pozostali żołnierze zajęci byli obezwładnianiem Drake'a, Dursa i Drossa, a gdy odwrócili się i dostrzegli, co się dzieje, było już za późno. Thor, Reece, O'Connor, Elden, Conval i Conven byli wolni, każdy z bronią w ręku. Przeciwnik nadal miał nad nimi ogromną przewagę liczebną i Thor

wiedział, że czeka ich niełatwa walka. Lecz teraz przynajmniej mieli jakieś szanse. Niezrażeni, rzucili się zajądło na wroga.

Stu żołnierzy Imperium ruszyło na nich. Thor usłyszał pisk wysoko w górze, podniósł głowę i ujrzał Estopheles. Jego sokolica zanurkowała i wydrapała oczy dowodzącemu żołnierzowi Imperium, który upadł na ziemię, młócąc rękoma. Następnie Estopheles rzuciła się na kilku kolejnych, pokonując ich jednego po drugim.

Thor umieścił w swej procy kamień i cisnął nim, uderzając jednego z szarżujących w skroń i powalając go, nim zdołał ich dosięgnąć; O'Connor zdołał wypuścić dwie strzały, które trafiły idealnie do celu, a Elden rzucił włóczę, przebijając dwóch żołnierzy, którzy padli na ziemię. Był to dobry początek – lecz pozostało im stu żołnierzy do zabicia.

Spotkali się pośrodku z donośnym okrzykiem bitewnym. Tak, jak uczono go podczas szkolenia, Thor skupił się na jednym żołnierzu w szczególności. Wybrał największego i najstraszniejszego, jakiego mógł znaleźć. Uniósł wysoko miecz. Rozległ się zgrzyt metalu, gdy mężczyzna zablokował miecz Thora swą tarczą i natychmiast opuścił młot na jego głowę.

Thor odsunął się i gdy młot ugrzązł w ziemi, dobył sztyletu zza pasa i zatopił go w ciele przeciwnika; mężczyzna padł martwy.

Thor uniósł tarczę w sam czas, by zablokować ciosy dwóch napastników, po czym parował swoim mieczem i zabił jednego z nich. Zamierzał zamachnąć się na drugiego, gdy kątem oka dostrzegł ostrze spadające na niego z tyłu; musiał odwrócić się i zablokować je tarczą.

Thora atakowano teraz ze wszystkich stron. Wróg miał nad nim przewagę liczebną i Thor mógł jedynie blokować spadające na niego ciosy. Nie miał czasu ani siły atakować – pozostało mu jedynie się bronić. Nacierano na niego coraz więcej żołnierzy.

Thor rozejrzał się i ujrzał, że jego bracia legionieści również znajdują się w opałach: każdy z nich zdołał zabić jednego lub dwóch żołnierzy – lecz było ich znacznie mniej i płacili za to wysoką cenę, obrywając z każdej strony. Thor widział, że szczęście się od nich odwraca – mimo Krohna, który skakał i atakował, i Indry, która podnosiła kamienie i ciskała nimi w żołnierzy. Było kwestią czasu, nim ich otoczą i wykończą.

– Uwolnijcie nas! – dobiegł ich głos.

Thor odwrócił się i ujrzał Drake'a, skrzepowanego sznurem obok swych braci, ledwie kilka stóp dalej.

– Uwolnijcie nas! – powtórzył Drake. – Pomożemy wam walczyć! Walczymy dla tej samej sprawy.

Odpierając kolejny silny cios tarczą, tym razem topora bitewnego, Thor zrozumiał, że trzy dodatkowe pary rąk znacznie by im pomogły. Bez nich nie mieli szans na pokonanie wszystkich tych żołnierzy. Thor czuł, że nie może już ufać trzem braciom, lecz w tej chwili nie miał nic do stracenia. Wszak oni również mieli powód, by walczyć.

Thor zablokował kolejny cios miecza, po czym padł na kolana i przetoczył się między nogami żołnierzy kilka stóp dalej, aż znalazł się przy braciach. Przyskoczył i rozciął kolejno sznury krępujące każdego z nich. Chronił ich od ciosów, gdy każdy z nich dobywał swego miecza i przyłączał się do walki.

Drake, Dross i Durs natarli na gęsty tłum żołnierzy Imperium i atakowali, uderzali, odpierali i dźgali. Każdy z nich był wprawnym wojownikiem słusznej postury – i zaskoczyli żołnierzy Imperium, zabijając natychmiast kilku z nich i zwiększając szanse na zwycięstwo legionistów. Thor miał mieszane odczucia co do uwolnienia ich po tym, jak postąpili – jednak zważywszy na okoliczności, zdawała się to być najmądrzejsza decyzja. Lepsze to niż śmierć.

Teraz w dziewięciu stawiali czoła jakimś osiemdziesięciu wojownikom. Szanse nadal były nikłe, lecz większe niż wcześniej.

Legionieści polegali na swych umiejętnościach nabytych w trakcie ćwiczeń podczas Rytuału Stu, gdy niezliczoną ilość razy uczono ich walczyć, gdy zostaną otoczeni, a wróg będzie miał

przewagę liczebną; robili to, czego uczyli ich Kolk i Brom: wycofali się i utworzyli zwarty krąg, stając tyłem do siebie i walcząc ze zbliżającymi się żołnierzami Imperium. Przybycie trzech dodatkowych wojowników dodało im sił i odżyli, walcząc z większą werwą niż wcześniej.

Conval dobył swego kiścienia, zakręcił nim i raz po raz atakował wroga. Zdołał zabić trzech żołnierzy, nim wyrwano mu łańcuch. Jego brat Conven używał buzdyganu, celując nisko i raniąc żołnierzy w nogi nabijaną kolcami metalową kulą. O'Connor nie mógł używać łuku z takiej odległości, lecz zdołał wyciągnąć dwa rzucane sztylety zza pasa i posłać je w stronę wroga, powalając dwóch żołnierzy. Elden zaciekle miotał swym oburęcznym młotem bitewnym, sypiąc dokoła silnymi ciosami. Thor i Reece zręcznie blokowali i odpierali uderzenia swymi mieczami. Przez chwilę Thor miał dobre przeczucie.

Wtem kątem oka dostrzegł coś, co go zaniepokoiło. Spostrzegł, że jeden z braci odwraca się i wbiega do środka kręgu Legionu; Thor odwrócił się i ujrzał Dursa. Nacierał, lecz nie na żołnierza Imperium, a na niego. Na Thora. Prosto na jego plecy.

Działo się to zbyt szybko i Thor, który odpierał dwóch żołnierzy przed sobą, nie zdążył odwrócić się na czas.

Thor wiedział, że przyjdzie mu zginąć. Od ciosu w plecy zadanego z rąk chłopaka, którego kiedyś uważał za swego brata, chłopaka, któremu naiwnie dwa razy zawierzył.

Nagle Conval wyłonił się przed Thorem, by go obronić.

I gdy Durs opuścił miecz na plecy Thora, ostrze miało w nim zatopić się w piersi Convala.

Thor obrócił się i krzyknął:

– CONVAL!

Conval stał bez ruchu, otworzywszy szeroko oczy na chwilę przed śmiercią, wpatrując się w zatopiony w jego sercu miecz i broczącą z piersi krew.

Durs stał, patrząc na niego, równie jak on zaskoczony.

Conval osunął się na kolana, a z jego piersi wypływała krew. Thor widział, w zwolnionym tempie, jak Conval, bliski mu brat legionista, chłopak, którego kochał jak brata, upada twarzą na ziemię, martwy. Wszystko po to, by uratować Thorowi życie.

Durs stał nad nim, patrząc w dół. Zdawał się być szokowany tym, co przed chwilą uczynił.

Thor rzucił się, by zabić Dursa – lecz uprzedził go Conven. Brat bliźniak Convala pospieszył naprzód i zamachnął się mocno mieczem. Pozbawił Dursa głowy i jego ciało bezwładnie opadło na ziemię.

Thor poczuł pustkę w środku, przytłoczony ciężarem winy. Popełnił o jeden błąd za dużo w ocenie ludzi. Gdyby nie uwolnił Dursa, Conval może nadal by żył.

Legioniści stali tyłem do żołnierzy Imperium, ułatwiając im atak. Wlali się w sam środek rozbitego kręgu i Thor czuł, jak młot bitewny uderza go w plecy; siła ciosu posłała go na ziemię twarzą naprzód.

Nim zdążył wstać, kilku żołnierzy skoczyło na niego; poczuł ich stopy na swych plecach, a następnie szarpnięcie, gdy jeden z nich nachylił się i schwycił go za włosy, pochylając się nad nim ze sztyletem.

– Pożegnaj się, młodzieńcze – rzekł żołnierz.

Thor zamknął oczy i wtedy poczuł, że przenosi się do innego świata.

Proszę, Boże, powiedział Thor do siebie. Pozwól mi przeżyć ten dzień. Daj mi siłę, by zabić tych żołnierzy. Pozwól umrzeć innemu dnia, w innym miejscu, z honorem. Pozwól żyć wystarczająco długo, by pomścić te śmierci. By zobaczyć Gwendolyn ostatni raz.

Thor leżał na ziemi, patrząc na opadający sztylet i miał wrażenie, że czas zwalnia tak bardzo, że niemal się zatrzymuje. Poczuł nagłe uderzenie gorąca, przechodzące z nóg przez tors i ramiona, aż do dłoni, do czubków jego palców. Towarzyszyło mu mrowienie tak intensywne, że nie potrafił nawet zacisnąć dłoni. Czuł, że przepływa przez niego nieprawdopodobny strumień ciepła i energii.

Thor odwrócił się, czując w sobie nową energię. Skierował dłoń na swego przeciwnika. Biała kula światła wystrzeliła z jego dłoni i rzuciła napastnikiem przez pole bitwy. Lecąc, przewrócił kilku innych żołnierzy.

Thor wstał, przepełniony energią, i wymierzał dłonią w różne miejsca pola bitwy. Posyłał wszędzie białe kule światła, jak fala zniszczenia, tak szybkie i silne, że po kilku minutach wszyscy żołnierze Imperium leżeli bezwładnie, martwi.

Gdy zamieszanie ucichło, Thor rozejrzał się. On, Reece, O'Connor, Elden i Conven żyli. W pobliżu byli również Krohn i Indra, także żywi. Krohn dyszał ciężko. Wszyscy żołnierze Imperium nie żyli. A nieopodal nich leżał martwy Conval.

Dross również nie żył. Leżał z imperialnym mieczem wbitym w serce.

Przeżył jedynie Drake. Leżał na ziemi, jęcząc, z raną brzucha zadaną przez sztylet jednego z żołnierzy Imperium. Thor podszedł do niego, a Reece, O'Connor i Elden podciągnęli go gwałtownie w górę. Jęknął z bólu.

Drake, wijąc się z bólu, na wpół świadomy, uśmiechnął się drwiąco, bezczelnie.

– Trzeba było nas zabić na samym początku – rzekł Drake. Z jego ust sączyła się krew. Zaniósł się długim kaszlem. – Zawsze byłeś zbyt naiwny. Zbyt głupi.

Thor czuł, jak krew napływa mu do twarzy. Poczuł jeszcze większą wściekłość na siebie za to, że im zawierzył. Jednak największą wściekłość budziło w nim to, że skutkiem jego naiwności była śmierć Convala.

– Zapytam cię o to tylko raz – warknął Thor. – Powiedz prawdę, a pozwolimy ci żyć. Skłam, a podążysz śladami swych dwu braci. Wybór należy do ciebie.

Drake zakasłał kilka razy.

– Gdzie jest Miecz? – zapytał Thor. – Tym razem mów prawdę.

Drake zakasłał znowu i w końcu podniósł głowę. Spojrzał w górę, w oczy Thora, a jego spojrzenie przepełnione było nienawiścią.

– Jezioro Głębin – odrzekł w końcu.

Thor spojrzał na pozostałych, lecz oni patrzyli na niego równie zbici z tropu.

– Jezioro Głębin? – spytał Thor.

– To jezioro bez dna – wtrąciła się Indra, występując naprzód. – Po drugiej stronie Wielkiej Pustyni. To jezioro nieprzeniknionych głębin.

Thor spojrzał wilkiem na Drake'a.

– Dlaczego? – spytał.

Drake zakasłał, coraz bardziej tracąc siły.

– Rozkazy Garetha – rzekł Drake. – Chciał umieścić go w takim miejscu, z którego nikt go nie odzyska.

– Dlaczego? – nalegał Thor, zdezorientowany. – Dlaczego chce zniszczyć Miecz?

Drake podniósł wzrok i spojrzał mu w oczy.

– Skoro on nie może go podnieść – powiedział Drake. – Nikomu nie może się to udać.

Thor przyglądał mu się długo, badawczo i w końcu upewnił się, że mówi prawdę.

– Mamy zatem niewiele czasu – rzekł Thor, przygotowując się, by wyruszyć w drogę.

Drake pokręcił głową.

– Nigdy nie dotrzecie tam na czas – rzekł Drake. – Mają nad wami wiele dni przewagi. Miecz przepadł na zawsze. Poddajcie się, wróćcie do Kręgu i oszczędźcie siebie.

Thor potrząsnął głową.

– Nie myślimy jak ty – odrzekł. – Nie żyjemy po to, by ocalić nasze życia. Żyjemy dla męstwa, dla naszego kodeksu. I pójdziemy tam, dokąd nas zaprowadzi.

– Widzisz, dokąd wasze męstwo doprowadziło was teraz – powiedział Drake. – Nawet ze swym męstwem jesteś głupcem, podobnie jak pozostali. Męstwo jest nic nie warte.

Thor uśmiechnął się do niego drwiąco. Nie mieściło mu się w głowie, że dorastał w jednym domu i spędził całe dzieciństwo z tą kreaturą.

Kłękcie Thora zbiegały, gdy zaciskał dłoń na rękojeści swego miecza, bardziej niż kiedykolwiek pragnąc zabić tego chłopaka. Oczy Drake'a powędrowały za dłońmi Thora.

– Dalej – powiedział Drake. – Zabij mnie. Zrób to raz, a dobrze.

Thor przypatrywał mu się długo i uważnie, paląc się, by to zrobić. Lecz przyrzekł Drake'owi, że jeśli powie prawdę, nie zabije go. A zawsze dotrzymywał danego słowa.

– Nie zrobię tego – rzekł w końcu Thor. – Choćbyś nie wiem jak na to zasługiwał. Nie zginiesz z mej ręki, gdyż to oznaczałoby, że upadłem tak nisko, jak ty.

Gdy Thor zaczął się odwracać, Conven ruszył naprzód i wrzasnął:

– Za mojego brata!

Nim którykolwiek z nich zdążył zareagować, Conven uniósł miecz i zatopił go w sercu Drake'a. W oczach Convena płonęło szaleństwo, żal, gdy trzymał Drake'a w śmiertelnym uścisku i patrzył, jak jego bezwładne ciało opada na ziemię.

Thor spojrział w dół i wiedział, że ta śmierć nie powetuje Convenowi jego straty. Straty ich wszystkich. Lecz było to przynajmniej niewielkie zadośćuczynienie.

Thor spojrzał na rozciągające się przed nimi połacie pustyni. Wiedział, że Miecz jest gdzieś poza jej granicami. Zdawało się, że jest na innej planecie. Gdy myślał, że ich wyprawa dobiega końca, okazało się, że jeszcze się nawet nie rozpoczęła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Erec siedział wśród dziesiątków rycerzy w sali zbrojeń w zamku księcia, bezpieczny za murami Savarii. Wszyscy byli poobijani po starciu z tymi potworami. Obok niego siedział jego przyjaciel Brandt, który skrył głowę w dłoniach, podobnie jak wielu innych rycerzy w sali. W pomieszczeniu panowała ponura atmosfera.

Erec też to czuł. Bolał go każdy miesiąc po bitwie z ludźmi możnowładcy i ze stworami. Był to jeden z najcięższych dni bitew, jakie pamiętał, i księżę stracił zbyt wielu ludzi. Erec rozmyślał o tym wszystkim i zdał sobie sprawę z tego, że gdyby nie Alistair, on, Brandt i inni już by teraz nie żyli.

Ereca obezwładniała niewymowna wdzięczność w stosunku do niej – a nawet więcej, zupełnie nowy rodzaj miłości. Intrygowała go również, i to bardziej niż kiedykolwiek. Od początku wyczuwał, że jest wyjątkowa, a nawet, że tkwi w niej jakaś potęga. Lecz wydarzenia tego dnia dowiodły, że tak jest. Płonęła w nim chęć, by dowiedzieć się więcej o tym, kim jest, o tajemnicy jej pochodzenia. Lecz przysiągł nie wtrącać się – a zawsze dotrzymywał słowa.

Erec nie mógł się doczekać, aż to spotkanie dobiegnie końca i znowu ją ujrzy.

Rycerze księcia siedzieli tu od wielu godzin, wracając do sił, próbując zrozumieć, co się stało i sprzecząc się, co robić dalej. Tarcza opadła i Erec wciąż starał się pojąć, jakie będą tego skutki. Oznaczało to, że Savaria jest teraz narażona na atak; co gorsza, do miasta napływali posłańcy z wieściami o najeździe Andronicusa, o tym, co stało się w Królewskim Dworze i w Silesii. Erec stracił ducha. Serce wołało, by dołączyć do braci z Gwardii, by bronił swych rodzinnych osad. Lecz oto był tu, w Savarii, gdzie rzucił go los. Tutaj także był potrzebny: miasto księcia i jego ludzie byli strategiczną częścią imperium MacGila i oni także potrzebowali ochrony.

Napływały do nich raporty o tym, że Andronicus wysłał jeden ze swych batalionów, by zaatakować Savarię, i Erec wiedział, że jego milionowa armia wkrótce rozprzestrzeni się po każdym zakątku Kręgu. Gdy Andronicus skończy, nie pozostawi po sobie nic. Erec słyszał o podbojach Andronicusa całe swoje życie i wiedział, że nikt nie może się z nim równać, jeśli chodzi o okrucieństwo. Wiedzieli, że kilka setek ludzi księcia nie będzie w stanie przeciwstawić się im. Savaria stała na przegranej pozycji.

– Uważam, że powinniśmy się poddać – rzekł doradca księcia, stary wojownik o srebrnych włosach, który siedział pochylony nad długim, prostokątnym drewnianym stołem, zatracony w swym kuflu piwa, rzucając metalową rękawicę na drewno. Pozostali żołnierze ucichli i spojrzeli na niego.

– Cóż innego nam pozostaje? – dodał. – Jest nas ledwie kilka setek przeciwko milionowi wroga.

– Może uda nam się bronić, choćby utrzymać miasto – rzekł inny żołnierz.

– Lecz jak długo? – spytał inny.

– Wystarczająco długo, by MacGil mógł przybyć nam z odsieczą, jeśli uda nam się tyle wytrwać.

– MacGil nie żyje – rzekł inny żołnierz. – Nikt nam nie pomoże.

– Lecz jego córka żyje – zaprotestował inny. – Oraz jego ludzie. Nie pozostawia nas tu samych!

– Ledwie sami są w stanie się bronić! – wykrzyknął inny.

Mężczyźni ożywili się, mamrocząc i kłócąc się między sobą, przekrzykując się, nie dochodząc do żadnego rozwiązania.

Erec przyglądał się temu wszystkiemu i czuł pustkę wewnątrz. Ledwie kilka godzin wcześniej przybył posłaniec z potwornymi wieściami o najeździe Andronicusa i o tym – a dla Ereca były to nawet gorsze wieści, i dotarły do niego dopiero teraz – że zamordowano MacGila. Erec był tak daleko od Królewskiego Dworu przez tak długo, że usłyszał o tym po raz pierwszy – gdy to się stało, poczuł, jak gdyby w jego piersi zatopiono sztylet. Kochał MacGila jak ojca i ta strata wywołała w nim większą pustkę, niż był w stanie wyrazić.

W sali zapadła cisza, gdy książę odchrząknął. Wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę.

– Możemy się bronić przed atakiem – rzekł książę powoli. – Z naszymi umiejętnościami i wytrzymałością tych murów jesteśmy w stanie utrzymać miasto przed armią pięć razy większą od naszej – może nawet dziesięć razy większą. Mamy wystarczająco dużo zapasów, by przetrzymać oblężenie, które będzie trwało wiele tygodni. Bylibyśmy w stanie zwyciężyć każdą zwyczajną armię.

Westchnął.

– Jednakże Imperium wyróżnia się niezwyczajną armią – dodał. – Nie możemy się bronić przed milionem mężczyzn. Byłoby to daremne.

Przerwał.

– Podobnie jak kapitulacja. Wszyscy wiemy, co Andronicus robi ze swymi jeńcami. Wygląda na to, że tak czy inaczej zginie. Musimy zatem zdecydować, czy wolimy zginąć w boju, czy w niewoli. Rzeknę, w boju!

W pomieszczeniu rozległy się okrzyki aprobaty. Erec zgadzał się z księciem.

– Nie pozostaje nam zatem żadne inne wyjście – ciągnął dalej książę. – Będziemy bronić Savarii. Nigdy się nie poddamy. Być może zginie, lecz zginie wszyscy razem.

W sali zapadła ciężka cisza. Pozostali z powagą kiwali do siebie głowami. Wyglądało to tak, jakby wszyscy szukali innej odpowiedzi.

– Jest inny sposób – rzekł w końcu Erec, podnosząc głos.

Czuł, że spojrzenia wszystkich kierują się na niego.

Książę skinął głową w jego stronę, dając mu znak, by mówił.

– Możemy zaatakować – rzekł Erec.

– Zaatakować? – zawołali zaskoczeni żołnierze. – Kilka setek naszych wojowników ma zaatakować milion mężczyzn? Erecu, wiem, żeś nieustraszony. Ale czyś postradał zmysły?

Erec pokręcił głową ze śmiertelną powagą.

– Nie bierzecie pod rozwagę tego, że ludzie Andronicusa nie spodziewają się ataku. Zyskamy przewagę dzięki zaskoczeniu. Tak jak rzekliście, tkwiąc tutaj, broniąc się, zginie. Jeśli zaatakujemy, pokonamy znacznie większą ilość mężczyzn; co ważniejsze, jeśli zaatakujemy we właściwy sposób i we właściwym miejscu, może uda nam się coś więcej niż tylko ich odeprzeć – może nam się udać ich zwyciężyć.

– Zwyciężyć?! – krzyknęli wszyscy, patrząc na Ereca, zupełnie zbici z pantałyku.

– Co masz na myśli? – spytał książę.

– Andronicus będzie się spodziewał, że zostaniemy tutaj, że będziemy bronić miasta za jego murami – wyjaśnił Erec. – Jego ludzie nie będą się spodziewać, że zajmiemy jakiś punkt poza miastem. Tutaj w mieście mamy mocne mury – lecz tam, na zewnątrz, po naszej stronie stoi element zaskoczenia. A zaskoczenie zawsze jest lepsze niż siła. Jeśli uda nam się zająć ten punkt, uda nam się skierować ich wszystkich w jedno miejsce, z którego będziemy mogli atakować. Mówię o Wschodnim Jarze.

– Wschodnim Jarze? – spytał jeden z wojowników.

Erec skinął głową.

– To wąska szczelina między dwoma urwiskami, jedyne przejście przez Góry Kawońskie, oddalona o dobry dzień drogi stąd. Jeśli ludzie Andronicusa zmierzają w naszym kierunku, najkrótsza droga prowadzi przez Jar. W przeciwnym razie musieliby wspiąć się i przejść przez góry. Droga biegnąca z północy jest zbyt wąska i zbyt błotnista o tej porze roku – straciłby tygodnie, gdyby ją obrał. A od południa musiałby przeprawić się przez Rzekę Fjord.

Książę spojrzał na Ereca z podziwem, pocierając brodę i myśląc.

– Możesz mieć rację. Andronicus może poprowadzić swych ludzi przez jar. Każda inna armia okazałaby tym najwyższą pychę. Lecz on, jego milion ludzi, może tak właśnie postąpić.

Erec skinął głową.

– Jeśli zdołamy dotrzeć tam przed nimi, uda się nam ich zaskoczyć, złapać ich w zasadzkę. Z takiej pozycji kilku będzie w stanie stawić opór kilku tysiącom.

Pozostali żołnierze spojrzeli na Erec'a z czymś w rodzaju nadziei i podziwu, i w sali zaległa gęsta cisza.

– Odważny plan, przyjacielu – rzekł książę. – Lecz śmiały z ciebie wojownik. Zawsze taki byłeś – książę skinął na sługę. – Przynieś mapę!

Chłopiec wybiegł z sali i wrócił innym wejściem, trzymając w dłoni duży zwój pergaminu. Rozwinął go na stole i żołnierze zebrali się wokół niego i pochylili.

Erec wyciągnął dłoń i odnalazł na mapie Savarię. Nakreślił palcem linię prowadzącą na wschód, zatrzymując się na Wschodnim Jarze. Ta wąska szczelina otoczona była górami ciągnącymi się daleko jak okiem sięgnąć.

– Doskonale – rzekł jeden z żołnierzy.

Inni pokiwali głowami, pocierając brody.

– Słyszałem historie, w których kilka tuzinów mężczyzn odparło tysiące w jarze – rzekł jeden z żołnierzy.

– Bajania starych bab – powiedział cynicznie inny. – Owszem, zaskoczymy ich. Lecz cóż poza tym? Nie będą nas chroniły nasze mury.

– Będą nas chroniły naturalne mury – zaprotestował inny żołnierz. – Te góry to setki stóp solidnych ścian.

– Żaden sposób nie gwarantuje bezpieczeństwa – dodał Erec. – Jak rzekł książę, zginiemy tutaj, albo zginiemy tam. Rzeknę, zginiemy tam. Zwycięstwo sprzyja śmiałym.

Książę pocierał brodę przez długi czas, w końcu pokiwał głową, odchylił się w tył i zwinął mapę.

– Gotujcie swój oręż! – zawołał. – Wyruszamy jeszcze dziś!

*

Erec, odziany znów w pełną zbroję, z mieczem u pasa, podążał korytarzem zamku księcia w kierunku przeciwnym niż reszta mężczyzn. Pozostała mu do zrobienia jeszcze jedna ważna rzecz, nim wyruszy na bitwę, która mogła być jego ostatnią.

Musiał zobaczyć się z Alistair.

Od czasu, gdy wrócili z bitwy, Alistair czekała w zamku, w swej komnacie w dalszej części korytarza, aż przyjdzie do niej Erec. Spodziewała się radosnego spotkania i tracił ducha na myśl, iż będzie musiał jej przekazać złe wieści, że znów ją opuszcza. Niewielką ulgę przynosiła mu myśl, że ona pozostanie tutaj, bezpieczna za murami zamku, i czuł się bardziej zdeterminowany niż kiedykolwiek, by zadbać o jej bezpieczeństwo, by powstrzymać Imperium. Bolało go serce na myśl o tym, że musi ją opuścić – nie pragnął niczego więcej, niż spędzać z nią czas od kiedy złożyli sobie przysięgę. Lecz zdawało się, że nie jest im to pisane.

Erec minął zakręt. Jego ostrogi pobrzękiwały, odbijając się echem od pustoszejących zamkowych korytarzy. Gotował się na pożegnanie, które – jak wiedział – będzie bolesne. Dotarł w końcu do starożytnych łukowatych drewnianych drzwi i zastukał delikatnie swą rękawicą.

Dobiegł go odgłos zbliżających się kroków i po chwili drzwi otworzyły się. Serce zabiło mu mocniej, jak zawsze, gdy widział Alistair. Stała na progu, ze swymi długimi, rozwichrzonymi jasnymi włosami i ogromnymi, przejrzystymi oczyma, wpatrując się w niego jak w zjawę. Za każdym razem, gdy ją widział, zdawała mu się piękniejsza.

Erec wszedł do środka i objął ją, a ona oplótła go ramionami. Trzymała go mocno przez długi czas, nie chcąc wypuścić z objęć. On również tego nie chciał. Marzył jedynie o tym, by zamknąć za sobą drzwi i zostać tam z nią tak długo, jak tylko będzie mógł. Lecz nie było im to pisane.

Ciepło i dotyk jej ciała sprawiły, że wszystko na świecie było znowu w porządku. Niechętnie wypuścił ją z objęć. W końcu odsunął się i spojrzał w jej błyszczące oczy. Opuściła wzrok na jego zbroję, oręż i sposepniała, domyśliwszy się, że Erec nie zostaje.

– Opuszczasz mnie znów, mój panie? – spytała.

Erec opuszczył głowę.

– Nie jest to moim życzeniem, moja pani – odrzekł. – Imperium się zbliża. Jeśli tu zostanę, wszyscy zginiemy.

– A jeśli wyruszysz? – spytała.

– Najpewniej zginę w obu przypadkach – przyznał. – Lecz to przynajmniej zapewni nam jakąś szansę, choćby niewielką.

Alistair odwróciła się i podeszła do okna. Wyjrzała na dziedziniec księcia muśnięty promieniami zachodzącego słońca. Na jej twarz padało delikatne światło. Erec widział wypisany na niej smutek. Podeszedł do niej i odgarnął włosy z jej karku, gładząc szyję.

– Nie smuć się, moja pani – powiedział. – Jeśli przeżyję, wrócę do ciebie. I będziemy razem po wsze czasy, wolni od niebezpieczeństw i trosk. Będziemy mogli w końcu wieść wspólne życie.

Potrząsnęła ze smutkiem głową.

– Lękam się – rzekła.

– Nadchodzącej armii? – spytał.

– Nie – powiedziała, zwracając się ku niemu. – O Ciebie.

Erec spojrzał na nią, nie pojmując.

– Lękam się, że teraz będziesz myślał o mnie inaczej – rzekła. – Skoro ujrzałeś, co się stało na polu bitwy.

Erec pokręcił głową.

– Ależ nie myślę o tobie inaczej – rzekł. – Ocaliłaś mi życie i za to jestem ci wdzięczny.

Pokręciła głową.

– Widziałeś jednak także inną stronę mnie – rzekła. – Widziałeś, że nie jestem zwyczajna, taka jak wszyscy. Mam w sobie moc, której nie rozumiem. I lękam się, że teraz będziesz o mnie myślał jak o jakimś potworze. Jak o kobiecie, której już nie chcesz za żonę.

Erecowi serce pękło, gdy usłyszał te słowa. Postąpił naprzód, chwycił jej dłonie w swoje i spojrzał jej w oczy z całą powagą, jaką tylko mógł w sobie zebrać.

– Alistair – rzekł. – Kocham cię każdą częścią mego jestestwa. Nigdy nie kochałem żadnej kobiety bardziej niż ciebie. I nigdy nie pokocham. Kocham cię całą. Widzę cię tak samo, jak innych. Te moce, które posiadasz – cokolwiek to jest, kimkolwiek jesteś – nawet jeśli tego nie pojmuję, akceptuję to wszystko. Jestem wdzięczny za to wszystko. Przysiągłem nie dociekać i dotrzymam tej przysięgi. Nigdy cię o to nie spytam. Kimkolwiek jesteś, akceptuję cię.

Długo się mu przypatrywała, po czym powoli uśmiechnęła się, a jej oczy napełniły się łzami ulgi i szczęścia. Odwróciła się i objęła go, przytulając mocno, z całych sił.

Wyszeptała mu do ucha:

– Wróć do mnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gareth stał na skraju jaskini, patrząc na zachodzące słońce, i czekał. Oblizwał spierzchnięte wargi i próbował się skupić. Opium powoli przestawało działać. Kręciło mu się w głowie, nie pił i nie jadł od wielu dni. Gareth wrócił myślami do swej zuchwałej ucieczki z zamku, do tego, jak wymknął się tajnym przejściem za kominkiem, tuż przed tym, jak pan Kultin próbował złapać go w zasadzkę, i uśmiechnął się. Kultin sprytnie zaplanował swój zamach – lecz Gareth był sprytniejszy. Podobnie jak inni, nie doceniał Garetha; nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego szpiedzy są wszędzie i że niemal od razu dowiedział się o spisku.

Gareth uciekł w sam czas, tuż przed tym, jak Kultin przyszedł po niego, a Andronicus najechał Królewski Dwór i zrównał go z ziemią. Pan Kultin wyświadczył mu przysługę.

Gareth szedł starożytnymi tajnymi przejściami w zamku, klucząc pod ziemią. W końcu wyszedł na zewnątrz, wynurzając się w odległej wiosce oddalonej o milę od Królewskiego Dworu. Wyłonił się nieopodal tej jaskini i opadł z sił, gdy do niej dotarł. Przespał dzień, skulony, trzęsąc się w przejmująco zimnym powietrzu. Żałował, że nie miał na sobie więcej warstw odzienia.

Przebudziwszy się, Gareth przykucnął i obserwował niewielką osadę rolną w oddali; było tam niewiele chat. Z ich kominów unosił się dym, a po wiosce i jej okolicy krążyli żołnierze Andronicusa. Gareth czekał cierpliwie, aż się oddalą. Z głodu bolał go brzuch i wiedział, że musi dotrzeć do jednego z tych domostw. Nawet tutaj czuł zapach gotującej się strawy.

Gareth puścił się biegiem, wypadłszy z jaskini, rozglądając się na wszystkie strony i dysząc ciężko, rozgorączkowany ze strachu. Nie biegł od lat i z wysiłku zabrakło mu tchu; zdał sobie sprawę, jak chudy i słabowity się stał. Rana na jego głowie, którą zadała mu matka popiersiem, pulsowała. Jeśli to wszystko przeżyje, poprzysiągł, że zabije ją własnymi rękoma.

Gareth wpadł do osady, szczęśliwie niespostrzeżony przez kilku żołnierzy Imperium, którzy byli odwróceny do niego tyłem. Pędził do pierwszej chaty, którą zobaczył, prostego jednoizbowego domostwa, podobnego do pozostałych, wokół którego roztaczała się ciepła poświata. Ujrzał uśmiechniętą nastoletnią dziewczynę, może w jego wieku, wchodzącą przez otwarte drzwi ze stosem mięsiwa. Towarzyszyła jej młodsza dziewczeczka, najpewniej jej siostra, która miała nie więcej niż dziesięć lat. Gareth uznał, że to odpowiednie miejsce.

Wpadł przez drzwi na równi z nimi, zatrzasnął je i chwycił młodszą dziewczynkę, zaciskając rękę wokół jej szyi. Dziewczynka krzyknęła, a starsza upuściła półmisek z jedzeniem, gdy Gareth dobył noża zza pasa i przyłożył go do gardła dziewczynki.

Krzyczała i płakała.

– PAPO!

Gareth odwrócił się i rozejrzał po przytulnej chacie, w której migotało światło świec i unosiła się woń gotującej się strawy, i ujrzał przy nastoletniej dziewczynie matkę i ojca, stojących przy stole i przypatrujących się mu szeroko otwartymi oczyma, w których płonął gniew i przerażenie.

– Nie zbliżajcie się, a jej nie zabiję – wykrzyknął Gareth, odsuwając się od nich, trzymając mocno dziewczynkę.

– Kim jesteś? – spytała nastoletnia dziewczyna. – Na imię mi Sarka. Mejsiostrze Larka. Jesteśmy spokojną rodziną. Czego chcesz od mojej siostry? Zostaw ją w spokoju!

– Wiem, kim jesteś – ojciec zmrużył oczy, przypatrując mu się z dezaprobatą. – Jesteś poprzednim królem. Synem MacGila.

– *Wciąż* jestem królem – wrzasnął Gareth. – A wy jesteście moimi poddanymi. Zrobicie, co rozkażę!

Ojciec spojrzał na niego gniewnie.

– Skoroś królem, gdzie twoja armia? – spytał. – I skoroś królem, jaki masz interes w tym, by brać młodą, niewinną dziewczynkę jako zakładniczkę i straszyć ją królewskim sztyletem? Może i

tym samym, którego użyłeś, by zabić swego ojca? – mężczyzna uśmiechnął się drwiąco. – Słyszałem, co ludzie mówią.

– Masz prędkie język – rzekł Gareth. – Jeszcze słowo, a zabiję twą córkę.

Ojciec przełknął ślinę. Jego oczy otworzyły się szerzej ze strachu i zamilkł.

– Czego od nas chcesz? – krzyknęła matka.

– Strawy – powiedział Gareth. – I schronienia. Zawiadomcie straż o mej obecności, a przysięgam, że ją zabiję. Żadnych sztuczek, rozumiecie? Zostawcie mnie w spokoju, a nic jej nie będzie. Zamierzam spędzić tu noc. Ty, Sarka, przynieś mi ten półmisek mięsiwa. A ty, kobieto, popraw ogień i przynieś mi opończę, którą będę mógł się okryć. Poruszajcie się powoli! – ostrzegł.

Gareth obserwował, jak ojciec skinął głową do matki. Sarka zebrała mięso na półmisek, a matka podeszła z grubą opończą i zarzuciła mu ją na ramiona. Gareth, wciąż się trzęsąc, powoli zbliżył się tyłem do kominka. Huczący ogień ogrzewał jego plecy, gdy usiadł na podłodze obok niego, trzymając przy sobie mocno wciąż płaczącą Larkę. Sarka podeszła z półmiskiem.

– Połóż go powoli na ziemi obok mnie! – rozkazał Gareth. – Powoli!

Patrząc gniewnie, Sarka rzuciła półmisek obok niego, spoglądając z niepokojem na siostrę.

Garetha omamił ten zapach. Pochylił się i wolną ręką chwycił kawał mięsa, drugą przyciskając sztylet do gardła Larki; przeżuwał i przeżuwał, zamknawszy oczy, rozkoszując się każdym kęsem. Gryzł szybciej, niż był w stanie przełykać. Kawałki jedzenia zwisały mu z ust.

– Wina! – zawołał.

Matka przyniosła mu bukłak z winem, a Gareth wycisnął go do pełnych ust, popijając mięsiwa. Oddychał głęboko, przeżuując i pijąc, czując, że staje się na powrót sobą.

– A teraz puść ją! – powiedział ojciec.

– To nie wchodzi w rachubę – odrzekł Gareth. – Spędzę tu noc, w ten sposób, trzymając ją przy sobie. Nic jej nie będzie, póki i mnie nic się nie stanie. Chcesz być bohaterem? Czy wolisz, by dziewczynka przeżyła?

Rodzina spojrziała po sobie, onemiała, ważąc możliwości.

– Mogę ci zadać jedno pytanie? – spytała Sarka. – Skoro taki z ciebie dobry król, dlaczego traktujesz swych poddanych w ten sposób?

Gareth wpatrywał się w nią, zbity z pantałyku, następnie odchylił się w tył i wybuchnął śmiechem.

– A któż powiedział, że jestem dobrym królem?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gwendolyn otworzyła oczy, czując że świat wokół niej się porusza. Miała trudności z przypomnieniem sobie, gdzie się znajduje. Ujrzała ogromne, łukowate bramy Silesii i tysiące żołnierzy Imperium przyglądających się jej w zadziwieniu. Zobaczyła idącego obok Steffena i niebo, które podskakiwało w górę i w dół. Zdała sobie sprawę, że ktoś ją niesie. Że jest w czyichś ramionach.

Wyciągnęła szyję i ujrzała błyszczące, skupione oczy Argona. Zauważyła, że obok niosącego ją Argona idzie Steffen. Przekroczyli otwarte bramy Silesii, mijając tysiące żołnierzy Imperium, którzy rozstępowali się na boki i stali, przypatrując się. Otaczała ich biała poświata i Gwendolyn, niesiona przez Argona, czuła się zanurzona w jakiegoś rodzaju ochronnej tarczy energetycznej. Zdała sobie sprawę, że rzucił jakieś zaklęcie, by utrzymać żołnierzy z daleka.

Gwen odczuwała pociechę, czuła się chroniona, gdy Argon ją niósł. Bolał ją każdy mięsień, była wyczerpana i nie wiedziała, czy, gdyby spróbowała, potrafiłaby chodzić. Mrugała oczami i w urwkach widziała świat, który mijali. Zobaczyła kawałek skruszonej ściany; zawaloną balustradę; spalone domostwo; stertę gruzu; zobaczyła, że idą przez dziedziniec, dochodzą do najdalszych bram na skraju Kanionu; zobaczyła, że przechodzą przez nie, mijając usuwających się z drogi żołnierzy.

Dotarli na skraj Kanionu, do platformy pokrytej metalowymi kolcami. Gdy Argon stanął na niej, opadła, opuszczając ich na powrót w głębinę dolnej Silesii.

Gdy weszli do dolnego miasta, Gwendolyn ujrzała dziesiątki twarzy, zmartwionych, przyjaznych twarzy mieszkańców Silesii, przypatrujących się, jak gdyby była widowiskiem. Wszyscy wyglądali na zdumionych i zmartwionych, gdy zobaczyli ją na głównym placu miasta.

Gdy tam dotarli, otoczyły ich setki ludzi. Gwen rozejrzała się i zobaczyła znajome twarze – Kendricka, Sroga, Godfreyę, Bromę, Kolka, Atme, dziesiątki Srebrnych i legionistów, których znała... Zebrali się wokół niej, a na ich twarzach we wczesnym porannym słońcu Gwen widziała rozpacz. Z Kanionu napływała mgła, a zimny wiatr szczypał jej skórę. Zamknęła oczy, próbując sprawić, by to wszystko zniknęło. Czuła się jak przedmiot wystawiony na pokaz. Czuła się do głębi zmiażdżona, upokorzona. I czuła, że ich wszystkich zawiodła.

Szli dalej, mijając tych wszystkich ludzi, wąskimi uliczkami dolnego miasta. Przekroczyli kolejne łukowate przejście i w końcu weszli do niewielkiego pałacu dolnej Silesii. Gwen na przemian traciła i odzyskiwała przytomność, gdy wchodzili do wspaniałego czerwonego zamku, szli w górę schodami, później długim korytarzem i przez kolejne drzwi o wysokim, łukowatym sklepieniu. W końcu otworzyły się niewielkie drzwi i weszli do jakiejś komnaty.

W pomieszczeniu panował półmrok. Zdawało jej się, że jest to duży pokój sypialny, pośrodku którego stało wiekowe łóżko z baldachimem. Niedaleko niego w starożytnym marmurowym kominku płonął ogień. W pomieszczeniu stało kilka służek. Gwendolyn czuła, że Argon niesie ją w kierunku łóżka i delikatnie na nim kładzie. Gdy to zrobił, podeszło do niej mnóstwo ludzi, którzy spoglądali na nią z troską.

Argon wycofał się, postąpił kilka kroków w tył i zniknął wśród nich. Szukała go wzrokiem, zamrugawszy kilka razy, lecz nie mogła go nigdzie dojrzeć. Zniknął. Odczuła brak jego energii ochronnej, która otaczała ją jak tarcza. Było jej chłodniej, czuła się mniej chroniona, gdy nie było go w pobliżu.

Gwen zwilżyła językiem spękane wargi i po chwili poczuła, jak ktoś unosi jej głowę, podkłada pod nią poduszkę i przykładą dzban z wodą do ust. Piła i piła, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo była spragniona. Podniosła wzrok i zobaczyła kobietę, którą rozpoznawała.

Illepra, nadworna uzdrowicielka. Illepra spojrzała na nią oczyma wypełnionymi troską. Podawała jej wodę, przecierała czoło ciepłym kawałkiem tkaniny, odgarniając włosy z twarzy. Położyła dłoń na jej czole i Gwen czuła, jak przepływa przez nią jej uzdrowicielska energia. Czuła, jak powieki zaczynają jej ciążyć i wkrótce zamykają się wbrew jej woli.

*

Gwendolyn nie wiedziała, ile czasu minęło, nim ponownie otworzyła oczy. Wciąż czuła się wykończona, zdezorientowana. W swym śnie słyszała głos, i teraz słyszała go znów.

– Gwendolyn – dobiegł ją głos. Czuła, jak rozchodzi się echem w jej głowie i zastanawiała się, jak wiele razy naprawdę wypowiedział jej imię.

Spojrzała w górę i rozpoznała Kendricka, który patrzył na nią. Obok niego stał jej brat Godfrey, a wraz z nim Srog, Brom, Kolk i kilku innych. Po jej drugiej stronie stał Steffen. Nie mogła znieść wyrazu ich twarzy. Patrzyli na nią, jak gdyby trzeba było się nad nią litować, jak gdyby powróciła ze świata zmarłych.

– Siostró moja – rzekł Kendrick z uśmiechem. Słyszała troskę w jego głosie. – Powiedz nam, co się wydarzyło.

Gwen potrząsnęła głową, zbyt zmęczona, by wszystko relacjonować.

– Andronicus – powiedziała schrypniętym głosem, który brzmiał bardziej jak szept. Odchrząknęła. – Próbowalam... poddać się... w zamian za miasto... Zaufałam mu. Głupia...

Kręciła głową raz za razem. Po jej policzku spłynęła łza.

– Nie, jesteś *szlachetna* – poprawił ją Kendrick, chwytając jej dłoń. – Jesteś najodważniejsza z nas wszystkich.

– Zrobiłaś to, co zrobiłby każdy wielki przywódca – powiedział Godfrey występując naprzód.

Gwen pokręciła głową.

– Oszukał nas... – rzekła Gwendolyn. – ... i zaatakował mnie. Kazał McCloudowi mnie zaatakować.

Gwen nie potrafiła powstrzymać łez: zaczęła łkać, gdy wypowiadała te słowa. Wiedziała, że nie jest to zachowanie godne przywódczyni, lecz nie potrafiła tego powstrzymać.

Kendrick ścisnął mocniej jej dłoń.

– Chcieli mnie zabić – rzekła. – Steffen mnie uratował...

Wszyscy zebrani w pomieszczeniu spojrzeli na Steffena z całkiem nowym szacunkiem. Ten stał lojalnie u jej boku i skłonił głowę.

– Moja pomoc była niewielka i po czasie – odrzekł kornie. – Byłem tylko jeden, a ich wielu.

– Lecz ocaliłeś naszą siostrę i za to będziemy ci dozgonnie wdzięczni – rzekł Kendrick.

Steffen pokręcił głową.

– Ja zawdzięczam jej dalece więcej – odrzekł.

Gwen zalała się łzami.

– Argon ocalił nas oboje – zakończyła.

Twarz Kendricka spochmurniała.

– Pomścimy cię – powiedział.

– Nie o siebie się martwię – rzekła. – Lecz o miasto... naszych ludzi... Silesię... Andronicus... On zaatakuję.

Godfrey poklepał ją po dłoni.

– Nie zaprzataj sobie tym teraz głowy – powiedział, występując naprzód. – Odpoczywaj. My przedyskutujemy te kwestie. Teraz, tutaj nic ci nie grozi.

Gwen czuła, że zaczynają jej się zamykać oczy. Nie wiedziała, czy śni, czy nie.

– Potrzebuje snu – rzekła czuwająca nad nią Illepra, występując naprzód.

Do Gwendolyn to wszystko docierało jak przez mgłę. Jej ciało stawało się coraz cięższe, na przemian traciła i odzyskiwała świadomość. Przez głowę przelatywały jej obrazy, w których pojawiał się Thor, a później jej ojciec. Miała trudności z odróżnieniem, co jest jawą, a co snem i słyszała jedynie strzępki rozmowy, która się nad nią toczyła.

– Jak poważne są rany? – dobiegł ją głos, być może Kendricka.

Czuła, jak Illepra przesuwając dłoń po jej czole. I tuż przed tym, jak jej oczy się zamknęły, usłyszała słowa Illeprzy:

– Rany na ciele są lekkie, mój panie. Lecz rany na duchu biegają głęboko.

*

Gwen obudził odgłos trzaskającego w kominku ognia. Nie była w stanie stwierdzić, jak dużo czasu upłynęło. Zamrużyła kilka razy, rozglądając się po słabo oświetlonym pokoju i zauważyła, że ludzie, którzy byli tam wcześniej, wyszli. Został jedynie Steffen, siedzący na krześle obok niej, Illepra, która stała nad nią, smarując jej nadgarstek jakąś maścią, i jeszcze jedna osoba. Był to dobrotliwy staruszek, który przyglądał się jej z troską. Była pewna, że go zna, ale nie potrafiła sobie do końca przypomnieć. Czuła się bardzo zmęczona, zbyt zmęczona, jak gdyby nie spała od lat.

– Pani? – rzekł staruszek, pochylając się nad nią. Trzymał w dłoni jakiś sporych rozmiarów przedmiot. Spojrzała w dół i zobaczyła, że to oprawiona w skórę księga.

– To Aberthol – rzekł. – Twój stary nauczyciel. Słyszysz mnie?

Gwen przełknęła ślinę i powoli pokiwała głową, otwierając lekko oczy.

– Czekam od wielu godzin, by się z tobą zobaczyć – powiedział. – Zauważyłem, że się przebudziłaś.

Gwen pokiwała powoli głową, przypominając go sobie, wdzięczna, że przyszedł.

Aberthol pochylił się i otworzył swą wielką księgę. Czuła jej ciężar na swym udzie. Słyszała trzeszczenie ciężkich stron, gdy je przewracał.

– To jedna z ksiąg, które udało mi się ocalić – rzekł. – Nim spłonął Dom Uczonych. To czwarta kronika MacGilów. Czytałaś ją. Kryją się w niej historie podboju, zwycięstw i porażek – lecz również inne historie. Historie wielkich przywódców, którzy doznali krzywdy. Historie ran zadanych ciału i ran zadanych duchowi. Wszelkiego rodzaju ran, jakie tylko można sobie wyobrazić, moja pani. I przyszedłem właśnie to ci powiedzieć: nawet najlepsi spośród mężczyzn i kobiet cierpieli niewyobrażalnie, zadawano im rany i torturowano ich. Nie jesteś sama. Jesteś jedynie pyłkiem w kole czasu. Jest niezliczenie wiele tych, którzy cierpieli dalece bardziej niż ty – i wielu tych, którzy przetrwali i stali się wielkimi władcami.

– Nie czuj wstydu – rzekł, chwytając jej dłoń. – To chciałem ci powiedzieć. *Nigdy* nie czuj wstydu. Nie powinien kryć się w tobie wstyd – a jedynie honor i odwaga przez to, jak postąpiłaś. Jesteś najwspanialszym przywódcą, jakiego miał Krąg. A to, co się wydarzyło, w żaden sposób temu nie umniejsza.

Gwen, poruszona jego słowami, czuła, jak po policzku spływa jej łza. Jego słowa były właśnie tym, czego potrzebowała usłyszeć. Była mu za nie wdzięczna. Pojmowała, o czym mówi i zgadzała się z nim.

Lecz emocje nie pozwalały jej poczuć tego w pełni. Gdzieś w głębi duszy nie potrafiła powstrzymać się od myśli, że została zhańbiona na zawsze. Wiedziała, że to nieprawda, lecz tak właśnie czuła.

Aberthol uśmiechnął się, wyciągając mniejszą księgę.

– A pamiętasz tę? – spytał, odwracając jej czerwoną, oprawioną w skórę okładkę. – Ta była twoją ulubioną, kiedy byłeś dzieckiem. Legendy naszych ojców. Jest w niej szczególnie historia. Pomyślałem, że przeczytam ci ją, by pomóc ci zabić czas.

Gwen wzruszył ten gest, lecz nie była w stanie tego wytrzymać. Potrząsnęła ze smutkiem głową.

– Dziękuję ci – rzekła zachrypniętym głosem. Kolejna łza stoczyła się w dół po policzku. – Lecz nie mogę tego teraz wysłuchać.

Na jego obliczu odmalowało się rozczarowanie. Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Innym razem – powiedziała przygnębiona. – Muszę być sama. Jeśli możecie, proszę, zostawcie mnie. Wszyscy – rzekła, patrząc na Steffena i Illeprę.

Wstali i skłonili głowy, po czym odwrócili się i wyszli spiesznie z komnaty.

Gwen czuła się winna, lecz nie potrafiła nic na to poradzić; miała ochotę zwinąć się w kłębek i umrzeć. Słyszała ich oddalające się kroki, trzask zamykanych drzwi i rozejrzała się, by upewnić się, że pomieszczenie jest puste.

Ku swojemu zaskoczeniu dostrzegła, że nie było: przy drzwiach stała samotna postać, wyprostowana, o jak zawsze nienagannej sylwetce. Ruszyła powoli i majestatycznie w kierunku Gwen. Zatrzymała się o kilka stóp od jej łoża i wpatrywała się w nią. Na jej twarzy nie było ani śladu emocji.

Jej matka.

Gwen była zaskoczona, że ją tu widzi – poprzednią królową, majestatyczną i dumną jak zawsze, wpatrującą się w nią z takim chłodem, jak zawsze. W jej oczach nie odnalazła ani krzty współczucia, które dostrzegała w oczach pozostałych, którzy do niej przychodzili.

– Czemu tu jesteś? – spytała Gwen.

– Przyszłam się z tobą zobaczyć.

– Lecz ja nie chcę się z tobą widzieć – rzekła Gwen. – Nie chcę się widzieć z nikim.

– Nie obchodzi mnie, czego ty chcesz – powiedziała jej matka chłodno i pewnie. – Jestem twoją matką i mam prawo widzieć się z tobą, kiedy tylko zapragnę.

Gwen poczuła, jak wzbiera w niej dawny gniew na matkę; była ostatnią osobą, którą chciała teraz widzieć. Lecz знаła swą matkę i wiedziała, że nie odejdzie, dopóki nie powie tego, co zamierza.

– Mów więc – rzekła Gwendolyn. – Mów i wyjdź, i zostaw mnie w spokoju.

Jej matka westchnęła.

– Nie wiesz o tym – rzekła. – Lecz gdy byłam w twoim wieku, zostałam zaatakowana w taki sam sposób, jak ty.

Gwen wpatrywała się w nią zszokowana; nie miała o tym pojęcia.

– Twój ojciec o tym wiedział – ciągnęła dalej. – I nie dbał o to. I tak mnie poślubił. Wtedy miałam wrażenie, że mój świat się kończy. Lecz tak się nie stało.

Gwen zamknęła oczy, czując, jak po jej policzku stacza się kolejna łza, i próbując wyprzeć wspomnienie tego zdarzenia. Nie chciała słuchać opowieści matki. Było za późno na to, by jej matka próbowała okazać jej jakiegokolwiek prawdziwe współczucie. Czy spodziewała się, że może tu wparować, po tylu latach złego traktowania, opowiedzieć jej tę historyjkę i oczekiwać, że to naprawi ich relacje?

– Skończyłaś? – spytała Gwendolyn.

Jej matka postąpiła naprzód.

– Nie, *nie* skończyłam – rzekła stanowczo. – Jesteś teraz królową i najwyższy czas, byś się tak zachowywała – rzekła głosem twardym jak stal. Gwen usłyszała w nim siłę, której nigdy wcześniej nie słyszała.

– Użalasz się nad sobą. Lecz kobiety każdego dnia wszędzie spotyka los gorszy niż twój. To, co ci się przydarzyło, jest niczym w planie życia. Rozumiesz? Jest *niczym*.

Jej matka westchnęła.

Jeśli chcesz przetrwać i żyć na tym świecie, musisz być silna. Silniejsza niż mężczyźni. Mężczyźni cię dopadną, w ten czy inny sposób. Rzecz nie w tym, co ci się przydarzy, lecz w tym, jak to *postrzegasz*. Jak na to *zareagujesz*. Nad tym masz władzę. Możesz się zwinąć w kłębek i umrzeć. Albo możesz być silna. To odróżnia dziewczynę od kobiety.

Gwen wiedziała, że jej matka stara się pomóc, lecz raził ją brak współczucia w jej podejściu. I nie cierpiała wysłuchiwać wykładów.

– Nienawidzę cię – powiedziała Gwendolyn. – Zawsze cię nienawidziłam.

– Wiem, że mnie nienawidzisz – odrzekła jej matka. – I ja ciebie także nienawidzę. Lecz to nie znaczy, że nie możemy się wzajemnie zrozumieć. Nie pragnę twej miłości – chcę jedynie, byś była silna. Tym światem nie rządzą ludzie, którzy są słabi i przestraszeni – rządzą nim ci, którzy

potrzęsają głową nad okropnościami, jak gdyby były niczym. Możesz się załamać i umrzeć, jeśli tego sobie życzysz. Masz na to mnóstwo czasu. Lecz to jest nudne. Bądź silna i żyj. Żyj prawdziwie. Bądź przykładem dla innych. Pewnego dnia, zapewniam cię, i tak umrzesz. A póki jesteś żywa, możesz równie dobrze żyć.

– Zostaw mnie! – krzyknęła Gwen, nie mogąc słuchać już ani jednego jej słowa.

Jej matka spojrzała na nią chłodno i w końcu, po milczeniu zdającym się trwać wieczność, odwróciła się i przemierzyła pokój dumnym krokiem, jak paw, i zatrzęsnęła za sobą drzwi.

W pustej ciszy Gwen zaczęła płakać, i płakała przez długi czas. Bardziej niż kiedykolwiek chciała wymazać wszystko z pamięci.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kendrick stał na szerokim podeście na skraju Kanionu, patrząc na kłębiącą się przed nim mgłę. Wpatrywał się w nią, a wewnątrz pękało mu serce. Nie mógł znieść widoku swej siostry w takim stanie i czuł się zdruzgotany, jak gdyby to jego zaatakowano. Dostrzegał w twarzach silesian, że widzieli w niej kogoś więcej niż tylko przywódcę – widzieli w niej rodzinę. Oni również byli przygnębieni. Jak gdyby Andronicus wyrządził krzywdę im wszystkim.

Kendrick winił siebie. Powinien był wiedzieć, że jego młodsza siostra zrobi coś takiego, wiedząc jak jest odważna, jak dumna. Powinien był przewidzieć, że będzie próbowała się poddać, nim ktokolwiek z nich będzie miał szansę ją zatrzymać, i powinien był znaleźć sposób na to, by ją przed tym powstrzymać. Znał ją dobrze, wiedział, jak bardzo jest ufna, jak dobre ma serce – co więcej, jako wojownik wiedział lepiej niż ona, jak brutalni są niektórzy dowódcy. Był od niej starszy i mądrzejszy i czuł, że ją zawiódł.

Kendrick poczuwał się również do winy, gdyż to wszystko, cała ta dramatyczna sytuacja była zbyt ciężka, by kłaść ją na barki jednej osoby, świeżo koronowanej władczyni, szesnastoletniej dziewczyny. Nie powinna była musieć nieść tego ciężaru w pojedynkę. Tak ważką decyzję byłoby trudno podjąć nawet jemu – nawet jego ojcu. Gwendolyn postąpiła najlepiej, jak mogła w tych okolicznościach, i być może lepiej, niż którykolwiek z nich by postąpił. Kendrick sam nie miał pojęcia, jak postąpić z Andronicusem. Żaden z nich nie miał.

Kendrick pomyślał o Andronicusie i z gniewu krew napłynęła mu do twarzy. Był przywódcą niewyznającym żadnych wartości, bez moralności, bez krzty człowieczeństwa. Było dla Kendricka jasne, że gdyby poddali się teraz wszyscy, spotkaliby ich jeden los: Andronicus zabiłby lub zrobił niewolnikami każdego z nich, bez wyjątku.

Wyczuwał w powietrzu, że coś się zmieniło. Kendrick dostrzegał to w oczach innych, i sam także to czuł. Silesianom nie zależało już wyłącznie na tym, by przetrwać, by się bronić. Teraz pragnęli zemsty.

– MIESZKAŃCY SILESII! – ryknął głos.

Tłum ucichł i spojrzał w górę. W górnym mieście, na skraju Kanionu, spoglądając w dół, na nich, stał Andronicus otoczony swymi giermkami.

– Przybyłem, by złożyć wam propozycję! – zagrzmiął. – Wydajcie mi Gwendolyn, a daruję wam życie! Jeśli tego nie zrobicie, o zachodzie słońca zasypię was ogniem, ogniem tak silnym, że żaden z was nie przeżyje!

Przerwał, uśmiechając się.

– To wspaniałomyślna propozycja. Nie zwlekajcie z odpowiedzią.

Z tymi słowy Andronicus odwrócił się i odszedł spiesźnie.

Silesianie powoli odwracali się i spoglądali na siebie.

Srog wystąpił naprzód.

– Przyjaciele! – zagrzmiął Srog do wielkiego, powiększającego się tłumu wojowników, z poważniejszym wyrazem twarzy, niż Kendrick kiedykolwiek u niego widział. – Andronicus zaatakował naszą najlepszą, umiłowaną władczynię. Córkę naszego umiłowanego króla MacGila i wspaniałą królową. Zaatakował każdego z nas. Próbował splamić nasz honor – lecz splamił jedynie swój!

– RACJA! – krzyknął tłum.

Mężczyźni ożywili się, z płonącymi oczyma chwytając rękojeści swych mieczy.

– Kendricku – rzekł Srog, odwracając się do niego. – Co proponujesz?

Kendrick powoli omiół spojrzeniem wszystkich zebranych przed nimi mężczyzn.

– ZAATAKUJMY! – wykrzyknął. W jego żyłach płonął ogień.

W tłumie, który gęstniał z każdą chwilą, rozległy się okrzyki aprobaty. Kendrick dostrzegł, że są nieustraszeni, że każdy z nich gotów jest walczyć na śmierć i życie.

– ZGINIEMY JAK MEŻCZYŹNI, NIE JAK PSY! – krzyknął ponownie Kendrick.

– RACJA! – odkrzyknął tłum.

– BĘDZIEMY WALCZYĆ ZA GWENDOLYN! ZA WSZYSTKIE NASZE MATKI, SIOSTRY I ŻONY!

– RACJA!

– ZA GWENDOLYN! – krzyknął Kendrick.

– ZA GWENDOLYN! – zawtórował mu tłum.

Tłum ryczał w uniesieniu, gęstniejąc z każdą sekundą.

Z jednym ostatnim okrzykiem ruszyli za Kendrickiem i Srogiem, którzy poprowadzili ich do wąskiego podestu, coraz wyżej i wyżej, ku górnej Silesii. Nadszedł czas, by pokazać Andronicusowi, z czego wykuci są Srebrni.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Thor stał z Reece'em, O'Connorem, Eldenem, Convenem, Indrą i Krohnem u ujścia rzeki, wpatrując się w zwłoki Convala. Nastrój unoszący się w powietrzu był ponury. Patrząc na zwłoki brata legionisty, Thor też to czuł, ciężar tego siedział mu na piersi, przytłaczając go. Conval. Martwy. Zdawało się to niemożliwe. Było ich na tej wyprawie sześciu od kiedy Thor pamiętał. Nie spodziewał się nigdy, że zostanie ich pięciu. Odczuł przez to, że jest śmiertelny.

Thor myślał o wszystkich tych chwilach, gdy Conval trwał przy nim. Przypomniawszy sobie, że zawsze był u jego boku, na każdym kroku tej wyprawy, od pierwszego dnia, gdy Thor zaciągnął się do Legionu. Był dla niego jak brat. Conval zawsze trzymał stronę Thora, zawsze służył mu dobrym słowem; w przeciwieństwie do niektórych, zaakceptował go jako przyjaciela od samego początku. Widok martwego Convala – tym bardziej, że z winy Thora – sprawił, że zrobiło mu się niedobrze. Gdyby nie zawierzył tym trzem braciom, być może Conval żyłby teraz.

Thor nie potrafił myśleć o Convalu, nie myśląc o Convenie. Dwaj bliźniacy, nierozłączni, którzy zawsze dokańczali wzajemnie swe myśli. Nie był w stanie sobie wyobrazić cierpienia, jakie musiał odczuwać Conven. Conven wyglądał, jak gdyby postradał zmysły; szczęśliwy, beztroski Conven, którego kiedyś znał, zdawał się zniknąć w jednej chwili.

Stali na skraju pola bitwy, gdzie to się stało. Ciała żołnierzy Imperium piętrzyły się obok nich. Stali bez ruchu, jak wryci w ziemię, patrząc w dół, na Convala. Żadnemu z nich nie było spieszno, by stamtąd ruszać, nim urządzi mu odpowiedni pochówek. Znaleźli piękne futra na niektórych z oficerów Imperium, ściągnęli je z nich i owinęli nimi ciało Convala. Umieścili go na niewielkiej łódce, tej, którą się tam dostali. Jego ciało leżało na niej, długie, sztywne, twarzą zwrócone do nieba. Pochówek wojownika. Ciało Convala było sztywne i sine, i zdawało się być tak nieruchome, jak gdyby nigdy nie żył.

Thor sam nie wiedział, jak długo tam stali. Każdy z nich zatopił się w swych własnych smutkach, żaden nie chciał wypuszczać łódki na wodę. Indra przesuwiała dłonią nad głową Convala, zataczając nad nią niewielkie kręgi, z zamkniętymi oczyma nucąc coś w języku, którego Thor nie rozumiał. Widział, że jej na nim zależało, gdy odprawiała tę ponurą posługę. Ten dźwięk uspokajał Thora. Żaden z nich nie wiedział, co powiedzieć, stali więc ponuro w ciszy, pozwalając Indrze odprawiać posługę.

W końcu skończyła i cofnęła się o krok. Conven postąpił naprzód i przyklęknął przy bracie. Po policzku spływały mu łzy. Wyciągnął rękę i położył dłoń na jego dłoni, pochylając głowę.

Conven wyprostował ręce i pchnął łódź. Wypłynęła, kołysząc się, na spokojne wody rzeki, po czym, jak gdyby nurt pojął, w czym rzecz, delikatnie zaczął ją unosić, powoli, dalej. Oddalała się od nich coraz bardziej. Krohn skomlał. Znikąd pojawiła się mgła i pochłonęła łódkę. Zniknęła.

Thor czuł, jak gdyby jego ciało też zostało wciągnięte w zaświaty.

Powoli wszyscy odwrócili się do siebie i spojrzeli hen, za pole bitwy, na ziemię w oddali. Za nimi były zaświaty, z których przyszli; po jednej stronie rozciągały się rozległe trawiaste tereny; a po drugiej stronie opuszczony nieużytek, spieczona na skorupę pustynia. Stali na rozdrożu.

Thor odwrócił się do Indry.

– By dotrzeć do Jeziora Głębin, musimy przemierzyć tę pustynię? – spytał Thor.

Skinęła głową.

– Nie ma innej drogi? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Są inne drogi, lecz nie tak bezpośrednie. Stracilibyście tygodnie. Jeśli chcecie dotrzeć tam przed złodziejami, to wasza jedyna droga.

Pozostali przyglądali się długo i uważnie temu miejscu, nad którym mocno prażyły obydwie słońca i którego powierzchnia unosiła się, marszcząc w powietrzu, rozżarzona.

- Wygląda na nielitościwą – rzekł Reece, podchodząc do Thora.
- Nie słyszałam o nikim, kto próbowałby ją przekroczyć i przeżył – rzekła Indra. – Jest rozległa, wypełniona nieprzyjawnymi stworami.
- Nie mamy wystarczająco dużo zapasów – powiedział O'Connor. – Nie uda nam się.
- Lecz ta droga prowadzi do Miecza – powiedział Thor.
- O ile Miecz jeszcze istnieje – rzekł Elden.
- Jeśli złodzieje dotarli do Jeziora Głębin – rzekła Indra. – Wasz cenny Miecz przepadł na zawsze. Zaryzykujecie życie dla marzenia. Najlepsze, co możecie teraz zrobić, to wrócić do Kręgu.
- Nie wrócimy – rzekł Thor, zdeterminowany.
- Zwłaszcza teraz – dodał Conven. Wystąpił naprzód, a w jego oczach płonęły ogień i żal.
- Odnajdziemy ten Miecz lub zginiemy, próbując – rzekł Reece.
- Indra potrząsnęła głową i westchnęła.
- Nie spodziewałam się po was innej odpowiedzi, chłopcy – powiedziała. – Brawura do ostatka.

*

Thor maszerował ramię w ramię z pozostałymi przez nieużytek, mrużąc oczy w ostrym słońcu i oddychając ciężko w nieustającym skwarze. Myślał, że będzie zachwycony, gdy opuszczą zaświaty, ich wszechobecny mrok, niemożność ujrzenia słońca. Lecz z jednej skrajności przeszli w drugą. Tutaj, na tej pustyni, nie było nic poza słońcem: żółte słońce i żółte niebo, spadające na niego. Nie było gdzie się skryć. Bolała go głowa i zaczynało wirować mu przed oczyma. Powłóczył nogami i miał wrażenie, że idzie od wieków; spojrzał na swych braci i dostrzegł, że oni również.

Wędrowali pół dnia i nie wyobrażał sobie, jak mieliby wytrwać. Spojrzał na Indrę, która trzymała kaptur nad głową i zastanawiał się, czy miała rację. Może rzeczywiście byli lekkomyślni, że się na to zdecydowali? Lecz poprzysiągł, że odnajdą Miecz – i jaki wybór mieli?

Szli dalej, wzniecając stopami tumany kurzu, które unosiły się wszędzie, utrudniając jeszcze bardziej oddychanie. Na horyzoncie widzieli tylko więcej spieczonej ziemi. Wszystko, jak okiem sięgnąć, było płaskie. Nie było najmniejszego śladu żadnej budowli, drogi, góry – niczego. Nic, tylko pustynia. Thor czuł, jak gdyby dotarli na sam koniec świata.

Thorowi ukojenie niosła jedna myśl: przynajmniej teraz, po raz pierwszy, ufał, dokąd idą. Nie był już skazany na słuchanie tych trzech braci i ich głupiej mapy; teraz szli za wskazówkami Indry, a ufał jej bardziej niż kiedykolwiek ufał im. Miał pewność, że zmierzają we właściwym kierunku – nie był tylko pewien, czy przeżyją tę wyprawę.

Nagle Thor usłyszał cichy świst, a gdy spojrzał w dół, spostrzegł, że na piasku tworzą się niewielkie koła. Pozostali także to dostrzegli i Thor ze zdumieniem zobaczył, że piasek powoli się usypuje, koła stają się coraz wyraźniejsze i zaczynają unosić się ku niebu. Wkrótce utworzyła się z nich chmura piasku, która uniosła się z ziemi i wzbijała się coraz wyżej i wyżej.

Thor poczuł, jak całe jego ciało zaczyna się coraz bardziej wysuszać. Czuł, jak gdyby każda kropla wody była z niego wysysana, i marzył o tym, by się napić. Nigdy w życiu nie był tak spragniony.

Wyciągnął ręce w panice, próbując złapać uciekającą wodę, przytrzymał ją i zbliżył w kierunku swych ust. Lecz gdy to zrobił, woda zawróciła i uniosła się ku niebu, nie dotykając jego twarzy.

– Co się dzieje? – krzyknął Thor do Indry, oddychając ciężko.

Spojrzała ze strachem na nieboskłon, zsuwając kaptur z głowy.

– Odwrócony deszcz! – krzyknęła.

– Co to takiego? – krzyknął Elden, oddychając płytko i chwytając się za gardło.

– Pada w górę! – wrzasnęła. – Cała wilgoć jest wyciągana w powietrze!

Thor patrzył, jak reszta wody z jego ciała wypływa ku górze, a następnie, jak jego skóra schnie i pęka, odpadając suchymi płatami na ziemię.

Thor osunął się na kolana, chwytając się za gardło i próbując złapać oddech. Wokół niego jego bracia zachowywali się podobnie.

– Wody! – błagał Elden obok niego.

Rozległo się donośny huk, jak gdyby rozbrzmiały tysiące grzmotów. Thor spojrzał w górę i zobaczył, że niebo zasnuwa się czernią. Pojawiła się pojedyncza chmura burzowa, która zmierzała w ich stronę z niewiarygodną prędkością.

– NA ZIEMIĘ! – krzyknęła Indra. – Niebo się odwraca!

Ledwie skończyła wypowiadać te słowa, a niebo się otworzyło i w dół trysnęła ściana wody, zmiatając z nóg Thora i pozostałych siłą powstałej fali.

Thor przewracał się, niesiony falą, sam nie wiedział jak długo. W końcu znalazł się znów na pustynnej ziemi, a fala rozlała się za nimi. Po tym lunęły strugi deszczu. Thor odrzucił głowę w tył i pił, podobnie jak pozostali, aż w końcu ugasili pragnienie.

Powoli doszli do siebie, oddychając ciężko, wyglądając na wykończonych. Wymienili spojrzenia. Przeżyli. Gdy szok minął i strach ich opuścił, powoli wybuchnęli śmiechem.

– Żyjemy! – krzyknął O'Connor

– Czy to najgorsze, co może nas spotkać na tej pustyni? – spytał Reece, zadowolony, że żyją.

Indra potrząsnęła z powagą głową.

– Przedwcześnie świętujecie – powiedziała, bardzo zaniepokojona. – Po deszczu zwierzęta pustyni wychodzą, by się napić.

Rozległ się okropny hałas. Thor spojrzał w dal i przyglądał się z przerażeniem, jak armia niewielkich stworzeń zmierza spiesźnie w ich kierunku. Thor spojrzał przez ramię i ujrzał jezioro wody, jakie zostawił po sobie deszcz. Zdał sobie sprawę z tego, że znajdowali się na drodze spragnionych stworzeń.

Dziesiątki zwierząt, których Thor nigdy wcześniej nie widział, pędziły w ich stronę. Były to ogromne, żółte zwierzęta przypominające bawoły, lecz dwukrotnie większe, o czterech rękach i czterech rogach, biegnące na dwóch nogach w ich kierunku. Przemieszczały się w zabawny sposób, co jakiś czas podskakiwały na czworakach, a potem ponownie się podnosiły. Ryknęły, gdy znalazły się bliżej nich. Od ich biegu drżała ziemia.

Thor dobył miecza, podobnie jak pozostali, i przygotował się do obrony. Gdy pierwsze zwierzę się zbliżyło, Thor odsunął się na bok, schodząc mu z drogi, nie uderzając w nie w nadziei, że przebiegnie obok nich w kierunku wody.

Stwór pochylił głowę, by nabić Thora i nie trafił, gdy się odsunął. Ku przerażeniu Thora, nie zadowolilo go to – zawrócił, wściekły, i ruszył wprost na niego. Zdawało się, że bardziej niż napić się wody, chce go zabić.

Gdy natarł po raz kolejny, opuszczając rogi, Thor skoczył wysoko w górę i zamachnął się mieczem, odcinając jeden z jego rogów, gdy przebiegał obok. Zwierzę ryknęło, skoczyło na dwie nogi i uderzyło Thora, przewracając go na ziemię.

Stwór uniósł nogi i próbował zdeptać Thora, lecz ten przetoczył się na bok. Stopy zwierzęcia zostawiły ślad w piasku, wzniesając tumany kurzu. Stwór ponownie podniósł nogę, i tym razem Thor uniósł miecz i zatopił go w piersi stwora.

Zwierzę ryknęło raz jeszcze. Zatopiwszy miecz aż po rękojeść, Thor przeturlał się spod zwierzęcia tuż przed tym, jak osunęło się na ziemię martwe. Miał szczęście: stwór zgniótłby go.

Gdy Thor stanął na nogi, natarło na niego kolejne zwierzę. Odskoczył na bok, lecz jeden z rogów drasnął jego ramię. Thor krzyknął z bólu i upuścił miecz. Pozbawiony miecza, dobył swej procy, umieścił w niej kamień i cisnął w zwierzę.

Zwierzę zatoczyło się i ryknęło, gdy kamień trafił w jej ślepię – lecz nie przerwało szarży.

Thor biegał na prawo i lewo, próbując umknąć zwierzęciu – lecz stwór był zbyt szybki. Thor nie miał dokąd uciec i wiedział, że za chwilę przebiją go rogi zwierzęcia. Biegąc, spojrzał na swych

braci legionistów i zobaczył, że nie radzą sobie wcale lepiej niż on. Każdy z nich także próbował umknąć przed którymś ze zwierząt.

Stwór zbliżył się do Thora, był oddalony od niego o cale. Thor czuł jego paskudny odór i słyszał parskanie. Zwierzę opuściło rogi. Thor przygotował się na uderzenie.

Nagle stwór pisnął, a gdy Thor się odwrócił, dostrzegł, że zwierzę unosi się w powietrzu. Thor spojrzał w górę, zbity z pantafiku, nie rozumiejąc, co się dzieje – i wtedy zobaczył za nim ogromnego potwora o żółtozielonej skórze, rozmiarów dinozaura, wysokiego na sto stóp, o rzędach ostrych jak brzytwy zębów. Trzymał stwora w paszczy, jak gdyby to było nic, następnie wygiął się w tył, przesuując go głębiej. Trzymał go tak, wiercącego się, po czym pogryzł i połknął w trzech dużych kęsach, oblizując się.

Żółte stwory wokół Thora odwróciły się i zaczęły uciekać przed potworem. Ten ruszył za nimi, przesuając i uderzając ogromnym ogonem po ziemi; ogon zahaczył o Thora i pozostałych i posłał ich na twarde podłoże. Lecz stwór podążał dalej za żółtymi stworami, bardziej zainteresowany nimi.

Thor odwrócił się i popatrzył na pozostałych, którzy siedzieli zaskoczeni i spojrzeli na niego.

Indra stała, potrząsając głową.

– Nie martwcie się – rzekła. – Będzie dużo gorzej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kendrick przeszedł powoli po spalonym dziedzińcu górnej Silesii. U jego boku kroczyli Srog, Brom, Kolk, Atme, Godfrey i tuzin Srebrnych. Szli powoli, statecznie, z rękoma skrzyżowanymi za głową, poddając się.

Niewielka grupa mijala tysiące przyglądających się żołnierzy Imperium, zmierzając w kierunku sylwetki Andronicusa, oczekującego przy drugiej bramie miasta. Kendrick czuł, że spojrzenia wszystkich spoczywają na nich, a gęste napięcie unosi się w powietrzu. Na dziedzińcu, mimo że zajęty był przez tysiące żołnierzy, panowała cisza jak makiem zasiał.

Godzinę wcześniej Kendrick wykrzyczał Andronicusowi, że chcą się poddać. Wraz z grupą wojowników udał się do górnego miasta, upewniając się, że wszyscy widzą, że są nieuzbrojeni, i szedł teraz między usuwającymi się z drogi żołnierzami Imperium w stronę Andronicusa, by oficjalnie złożyć mu pokłon. Serce Kendricka biło tak szybko, że niemal wyrwało mu się z piersi i zaschło mu w gardle, gdy zobaczył, że otaczają ich tysiące przeciwników.

Kendrick i pozostali przygotowali pewien plan. Gdy zbliżyli się do Andronicusa, Kendrick przekonał się na własne oczy, jak ogromny i dziki jest przywódca Imperium. Kendrick modlił się, by ich plan się powiódł. W przeciwnym razie już po nich.

Szli, pobrzękując ostrogami, aż jeden z generałów – imponujący stwór o głębokim, nienawistnym spojrzeniu – Andronicusa wystąpił naprzód i wyciągnął przed siebie szorstką dłoń, dźgając Kendricka w pierś. Zatrzymał ich jakieś dwadzieścia stóp przed Andronicusem, najpewniej z ostrożności. Ich żołnierze byli mądrzejsi, niż Kendrick przypuszczał; miał nadzieję, że podejda aż do Andronicusa, lecz najwyraźniej nie pozwolą im na to. Serce zaczęło łomotać mu szybciej; miał nadzieję, że odległość nie przeszkodzi im w wykonaniu planu.

Stali tak w ciszy, naprzeciw siebie. Kendrick odchrząknął.

– Przybyliśmy, by poddać się wielkiemu Andronicusowi – oznajmił Kendrick grmiącym głosem, starając się zawrzeć w nim jak najwięcej przekonania. Stał obok pozostałych bez ruchu, patrząc Andronicusowi prosto w oczy.

Andronicus uniósł dłoń i przesunął między palcami czerepy nawleczone na naszyjnik, spoglądając na nich z czymś w rodzaju warknięcia, a może uśmiechu.

– Przystajemy na twe warunki – ciągnął dalej Kendrick. – Uznajemy twoje zwycięstwo.

Andronicus pochylił się w przód, tylko odrobinę, siedząc na ogromnej kamiennej ławie, i spojrzął na nich z czymś w rodzaju uśmiechu.

– Z pewnością je uznacie – rzekł. Jego głos poniósł się przez dziedziniec. – Gdzie dziewczyna? Kendrick spodziewał się tego pytania.

– Przybyliśmy jako oddział naszych najbardziej doświadczonych i uznanych oficerów – odrzekł Kendrick. – Przybyliśmy jako pierwsi, by przyznać się przed tobą do klęski. Gdy my skończymy, nadejdą pozostali, za twoją zgodą.

Kendrick uznał, że dodanie „za twoją zgodą” to dobry pomysł, że dzięki temu to wszystko wyda się bardziej prawdopodobne. Nauczył się fantastycznego podejścia od jednego ze swych doradców wojennych dawno temu: jeśli masz do czynienia z narcystycznym przywódcą, zawsze odwołuj się do jego miłości własnej. Nie było końca błędów, jakie może popełnić przywódca, gdy się mu schlebia, gdy odwołuje się do jego wielkości.

Andronicus odchylił się nieznacznie w tył, niemal nie reagując.

– Jestem przekonany, że tak będzie – rzekł Andronicus. – W przeciwnym razie wykazalibyście się wyjątkową głupotą, zjawiając się tutaj.

Andronicus siedział, utkwivszy w nich spojrzenie, jak gdyby próbował podjąć decyzję. Zdawało się, że wyczuwa, iż coś jest nie tak. Serce Kendricka biło bez opamiętania.

W końcu po długim milczeniu zdało się, że Andronicus podjął decyzję.

- Podejdźcie bliżej i uklęknięcie – rzekł. – Wszyscy.
- Pozostali spojrzeli na Kendricka, a ten skinął głową.
- Wszyscy postąpili krok naprzód i uklękli przed Andronicusem.
- Powtarzajcie za mną – powiedział dowódca. – My, przedstawiciele Silesii...
- My, przedstawiciele Silesii...
- Poddajemy się wielkiemu Andronicusowi...
- Poddajemy się wielkiemu Andronicusowi...
- I przysięgamy mu lojalność po kres naszych dni i dłużej...
- I przysięgamy mu lojalność po kres naszych dni i dłużej...
- Oraz że będziemy służyć mu jako niewolnicy, aż nadejdzie kres naszych dni.

Te ostatnie słowa trudno było Kendrickowi wymówić. Przełknął ślinę, aż w końcu, słowo po słowie, powtórzył je:

- Oraz że będziemy służyć mu jako niewolnicy, aż nadejdzie kres naszych dni.

Zemdliło go, kiedy je wypowiedział. Kendrick słyszał, jak głośno łomocze mu serce. Wreszcie było po wszystkim.

Zaległa pełna napięcia cisza. W końcu Andronicus uśmiechnął się.

– Wy, MacGilowie, słabsi jesteście, niż myślałem – zawarczał. – Z przyjemnością uczynię z was niewolników i nauczę was zwyczajów Imperium. A teraz idźcie i przyprowadźcie dziewczę, nim się rozmyślę i zabiję was wszystkich na miejscu.

Kłęcząc tam, Kendrick widział, jak całe życie przepływa mu przed oczami. Wiedział, że to jedna z tych decydujących chwil w życiu. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, przeżyje i będzie opowiadał o tym dniu swym wnukom; jeśli nie, za kilka chwil będzie leżał tu martwy. Wiedział, że nie mają zbyt wielkich szans, lecz musiał podjąć to ryzyko. Dla siebie; dla MacGilów; dla Gwendolyn. Teraz albo nigdy.

Jednym szybkim ruchem Kendrick sięgnął za siebie i dobył miecza ukrytego pod koszulą. Wstał i krzyknął, cisnąwszy nim z całych sił.

- SILESIANIE, DO ATAKU!

Miecz Kendricka szybował, obracając się w powietrzu, zmierzając prosto ku piersi Andronicusa. Był to silny rzut i celny, na tyle zuchwały, by zabić każdego innego wojownika.

Lecz Andronicus nie był każdym innym wojownikiem. Kendrick stał o kilka jardów za daleko, a Andronicus był odrobinę zbyt szybki; zdołał się odsunąć. Krzyknął z bólu, gdy miecz otarł się o jego ramię, z którego wysączyła się strużka krwi. Miecz poleciał dalej i zabił jednego z generałów stojących obok niego, zatapiając się w jego brzuchu.

Wraz z okrzykiem Kendricka zapanował chaos. Reszta mężczyzn chwyciła swe ukryte miecze i odcięła głowy żołnierzy stojących obok. Brom dobył sztyletu zza pasa, dał krok na bok i zamachnął się nim w tył w gardło stojącego nieopodal żołnierza. Kolk wyciągnął procę zza pasa, umieścił w niej kamień i cisnął, trafiając stojącego daleko łucznika w głowę, nim ten zdążył wypuścić strzałę. Godfrey rzucił sztyletem; nie miał jednak tak celnego oka jak pozostali i sztylet minął swój cel, zatapiając się zamiast tego w nodze młodego żołnierza.

Wokół nich rozległy się krzyki rannych żołnierzy Imperium. Żaden z nich nie spodziewał się ataku z zaskoczenia.

Jak na zawołanie, w tej samej chwili z każdego zakamarka dziedzica Silesii – z ziemi, ze ścian – wyłonili się silesiańscy żołnierze. Ruszyli naprzód z głośnym okrzykiem bitewnym, wypuszczając strzały, które zaciemniły niebo. Tysiące strzał przecięły dziedziniec, powalając żołnierzy Imperium. Atakowano ich z tak wielu stron, że nie wiedzieli, gdzie się odwrócić; wielu z nich w tej panice atakowało własne oddziały.

Kendrick z zachwytem zauważył, że plan przebiega po jego myśli. Srog powiedział mu o ukrytych tunelach, łączących dolną Silesię z górnym miastem, zbudowanych na wypadek oblężenia,

które były ich ostatnią szansą. Żołnierze tkwili cierpliwie na swych miejscach, czekając na znak Kendricka.

Wyłonili się tysiącami, strzelając tak szybko i celnie, że żołnierze Imperium nie zdołali zareagować. Kendrick rzucił się do walki, wyrwawszy miecz z dłoni martwego żołnierza Imperium i natarł na znajdujących się najbliżej niego. Jego przyjaciel Atme i pozostali ruszyli za nim. Żołnierze Imperium, panikując w zaistniałym chaosie, odwrócili się i biegali we wszystkich kierunkach, nie do końca pewni, w którą stronę powinni ruszyć.

Los zaczynał się odwracać. Kendrick powalił dwunastu mężczyzn, nim musiał unieść tarczę, by się bronić. Atme walczył, stojąc plecami do niego, jak zawsze, wyrządzając równie duże szkody. Z każdym uderzeniem Kendrick myślał o Gwendolyn, myślał o zemście.

Tysiące żołnierzy Imperium były tak dezorientowane, że zaczęły się wycofywać w kierunku bram prowadzących na zewnętrzny dziedziniec. Tłum napierał na Andronicusa i jego ludzi i zaczął ich tratować. Usiłowali trwać niewzruszenie, lecz nie mogli ustać w miejscu przy takiej liczbie uciekających mężczyzn. Jak trzoda, zostali zagonieni przez drugą bramę. Wszyscy rozpaczliwie starali się umknąć strzałom, które spadały na nich niczym grad ze wszystkich stron. Gdy silesianom skończyły się strzały, dobyli swych mieczy i natarli ramieniem przy ramieniu.

Armia Imperium była liczna, lecz nie dobrze wyszkolona – większość z nich była jedynie ciałami, jedynie niewolnikami w służbie Andronicusa. Z kolei silesian było niewielu, lecz każdy jeden z nich był znamienitym wojownikiem, zatwardziałym w boju, dobrze wyszkolonym żołnierzem. Jeden silesianin wart był dziesięciu mężczyzn Imperium. Na ich korzyść działał także element zaskoczenia – a przede wszystkim płonący w ich żyłach ogień. Nie pozostało im nic innego. Płonęło w nich pragnienie życia. Pragnienie, by bronić swych bliskich. Wściekłość za Gwendolyn. Wszak było to ich miasto. I wiedzieli, że jeśli nie zwyciężą, nadejdzie ich koniec.

Silesianie zadęli w rogi. Dźwięk zdał się przeraźliwy, jak gdyby ich armii nie było końca, i coraz więcej z nich wyłaniało się z tuneli. Wszyscy ruszali naprzód, jak gdyby od tego zależało ich życie. Tysiące silesian starło się z tysiącami żołnierzami Imperium.

Walka była trudna, zaciepła. Dziedziniec spływał krwią, gdy miecz uderzał o miecz, a sztylet o sztylet. Mężczyźni mocowali się ze sobą, mierząc się spojrzeniami, walcząc wręcz i zabijając wroga, patrząc w jego twarz. Szczęście zaczęło się zwracać w stronę silesian.

Raz jeszcze zadęli w rogi i z dolnych bram Silesii wyłoniły się setki legionistów, którzy wydali z siebie swój własny wściekły okrzyk bitewny. Unieśli proce, strzały, włócznie i miecze i przyłączyli się do walki, powalając żołnierzy Imperium na prawo i lewo, zwiększając przewagę silesian. Legioniści, mimo młodego wieku, byli już wprawnymi wojownikami. Biegając, krzyczeli za Gwendolyn i Thora.

Legion wyrządził takie same szkody, jak pozostali, niezauważalnie przyłączając się do reszty i odpierając Imperium coraz dalej i dalej, w kierunku zewnętrznej bramy. Wkrótce szala zwycięstwa przechyliła się na ich stronę. Ziemia usiana była trupami żołnierzy Imperium, a tych, którzy pozostali, ogarniała panika i pierzchali z pola bitwy. Milionowa armia Imperium czekała za bramami – lecz wąskie przejście zapchane uciekającymi żołnierzami uniemożliwiała jej atak.

Andronicusa ogarnął szal. Wstał, wszedł w środek walki, odpierając żołnierzy, którzy na niego napierali, i atakując własnych ludzi. Chwytał żołnierzy gołymi rękoma i roztrzaskiwał ich głowy o siebie, skręcał im karki, zabijając ich na miejscu.

– MY SIĘ NIE WYCOFUJEMY! – wrzasnął.

Wyrywał żołnierzom miecze z dłoni i przebijał ich serca ich własną bronią. Była to jednoosobowa fala zniszczenia, która, jak na ironię, pomagała silesianom.

Kilku jego ważniejszych generałów również walczyło, równie zapalczywie jak on.

Lecz nie mogli nic poradzić na popłoch, na niekończącą się falę biegnących na nich żołnierzy. Mimo swych wysiłków zmuszeni byli do odwrotu, wypchnięci aż za zewnętrzną bramę.

Wkrótce na wewnętrznym dziedzińcu nie pozostał nawet jeden żołnierz Imperium. Legion pospieszył do bramy, walcząc mężnie, i gdy tam dotarł, pociągnął z całych sił za grube liny. Niejeden

z legionistów zginął – wystawieni byli na atak – lecz nie cofnęli się. W końcu ogromna żelazna brama opadła z trzaskiem, zamykając miasto przed armią Imperium.

Brama uderzyła z hukiem, a po nim na krótką chwilę zaległa cisza. Była to cisza pełna niedowierzania, cisza oszołomionych wojowników, którzy odnieśli zwycięstwo. Silesianie odzyskali swe miasto.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.